Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. **30** groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 8 maja 1938 r.* Nr. 19



JEST KTOŚ

Rysi Dziomdziorzance — poświęcam.

Jest ktoś w śród tłumu ludzi —
Drogi mi i bliski —
Ktoś, co wszystkim jest dla mnie,
Ktoś — bardzo kochany!
Ktoś, co w sercu starganym
Nowe szczęście zbudził,
Ktoś — co stworzył w przyjaźni —
Świat ciszy świetlanej.
Ktoś, co duszę rozumie,
Moją biedną duszę,
Ktoś, co słowem ukoi
Smutne łzy rozpaczy,
Ktoś, co listem przedobrym,
Przysłanym z daleka
Opromieni nadzieją
Smutny los tułaczy...
Ktoś, co w szczęściu, czy bólu,
W smutku, czy radości...
Czy w krwawej, najgłębszej męce,
Czy w ciszy uśmiechu:
Zawsze bliski mi duszą,
Zawsze mą pociechą...
I przewodnią mą gwiazdą,
Co wiedzie z ciemności...

K. Purollówna.

MAX DU VEUZIT

11)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO
IRENY MACIEJEWSKIEJ

Wstrząsnęłam przecząco głową.

— A pan woli, abym ja tylko poznała ten żal, te wyrzuty sumienia?

— Ależ nie powinna pani mieć najmniejszych, cokolwiek się stanie, wszak to moja wola tu decyduje.

— Beze mnie jednak, nie mógłby pan poddać się temu leczeniu.

— A czyż pani żal, pani wyrzuty sumienia byłyby mniejsze widząc mnie zawsze w tym stanie i mając świadomość, iż nie dopomogła mi pani do uzdrowienia?

— Ma pan słuszność, zastosuję się do życzeń pana, gdyby nawet później Blanka miała mi robić wyrzuty...

Przerwał mi:

— Czy pani sądzi, że nie potrafię postawić tak sprawy, aby przyjąć na siebie całą odpowiedzialność? Proszę mi zaufać, Sabino! Zanim oddam się w ręce chirurga, zrobię odpowiednie posunięcia. Licząc na wyzdrowienie, nie zapomnę jednak o ewentualności śmierci i o konsekwencjach, wypływających z niej dla tych, których kocham. Niech się pani niczego nie obawia, mała przyjaciółko.

Tym razem ja zaprotestowałam:

— Niech mi pan wybaczy, Januszu, iż mogło się panu wydawać, że obawiałam się czegoś dla siebie. W rzeczywistości przeraża mnie pana decyzja. Opowiedziałam panu, co mówił mi doktor Audoin, wiedząc dobrze, iż zechce pan na pewno poddać się temu zabiegowi; teraz jednak, gdy trzeba panu pomóc w zrealizowaniu tego pragnienia, boję się i drżę na myśl, iż mogłoby się stać nieszczęście, że przestałabym pana widywać, rozmawiać z panem... Nasza przyjaźń, nasze wzajemne zaufanie, nasze miłe rozmowy... wszystko to jest narażone na zgubę pod lancetem chirurga w razie najmniejszej jego nieuwagi; wszystko zagrożone przez tajemniczy prąd elektryczny, mogący w jednej sekundzie razić piorunem...

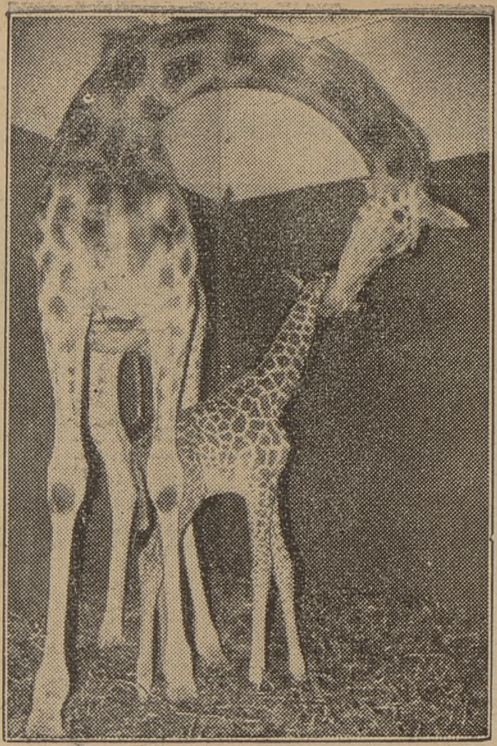
— Mogący również uzdrowić!

— To prawda! Przepraszam pana za ten lęk i obawę; jestem tylko słabą kobietą i wydaje mi się, iż nie należy szukać czegoś innego poza tym, co się posiada.

— Ach, niech pani zamilknie, Sabino; słowa pani są przepełnione niebywałym egoizmem. Pani ma zdrowe nogi, ręce, język, mózg! Może pani robić co się pani podoba! Żyje pani, jednym słowem, podczas gdy ja, nędzny kaleka, żywcem zamurowany, prawdziwy żywy trup, przeżywam tysiąc śmierci w tym więzieniu z okaleczałego ciała. Jak pani mogła wątpić, Sabino, w moje postanowienie! Jak pani mogła przypuszczać, że ja się będę wahał!

— Nie wątpiłam o panu, Januszu! Ale boję się o siebie... boję się, iż mogę być pozbawiona drogiej osoby pana.

— Oh, jakież miłe słowa! Boski wiatyk, który doda mi sił wśród największych cierpień kuracji! Nie zapomnę nigdy, Sabino, tych serdecznych słów.



W hamburskim ogrodzie zoologicznym Hagenbeka przyszło na świat młode żyrafiątko

Widząc mnie zamyśloną, smutnie siedzącą z opuszczoną głową, usiłował uśmiechnąć się, pochylając się ku mnie.

— Gdybym był pani bratem, Sabino, co poradziłaby mi pani wówczas?

— Obowiązek nakazywałby mi doradzić panu operację. Obiecuję panu być dzielną.

— A....

Zawahał się; nagle nakreślił trwożne pytanie, które musiało zapewne niepokoić umysł, a którego wargi nie mogły wymówić:

— A gdybym był pani narzeczonym, czy wahałaby się pani?

Przymknęłam oczy, blednąc.

— Nie miałabym prawa wahać się i wtedy również.

— Radziłaby mi pani poddać się zabiegowi?

— Stanowczo tak.

— Ale pani... ...

— Ja!

— Czy byłaby pani przygotowana.... na wszystko?

— Na wszystko? wyjąkałam.

— Przygotowana na wszystkie ewentualności: na moją śmierć, na obłąkanie? Ale również na moje uzdrowienie... na mój powrót.

Krew spłynęła mi do serca, głucho bijącego.

Moja młodość, zdrowie, dwudziestoletnie marzenia, słodkie kobiece nadzieje, wszystko zdawało się zamierać.

Widziałam przepaść przed sobą! Okropną przepaść, z której dobywał się gwałtowny, nie znoszący sprzeciwu głos, nie dający się zagłuszyć żadnym rozumowaniem.

— Uważaj! wołał ten władczy głos. Nie zabijaj nadziei, nadzieja bowiem dodaje sił i woli... A wola uzdrowienia to już prawie samo uzdrowienie! Nie popełniaj morderstwa, bo trzymasz w rękach życie!

Czy to było wołanie mej podświadomości? Krzyk litości, rozkaz sumienia? Ten wielki głos zagłuszał huk w obolałym mózgu, czyniąc mnie niezdolną do opierania się potężnemu nakazowi.

— Sabino, proszę mi odpowiedzieć, błagam panią, nalegał Janusz. Czy byłaby pani przygotowaną na me uzdrowienie, na mój powrót?

Oczy moje rozszerzyło przerażenie, czułam iż ześlizguję się naprawdę na dno przepaści.

— Tak, byłabym przygotowaną na wszystko! wyszeptałam z zamkniętymi oczami, nie mając odwagi spojrzeć na zniekształconą twarz o piekielnym uśmiechu, pochyloną nade mną.

— Gdybym był pani narzeczonym... zaczęły znowu kreślić palce, domagając się dokładnej odpowiedzi.

Uczyniwszy w myślach poświęcenie ze swego życia, stanowczo i z ulgą prawie, rzuciłam upragnioną odpowiedź:

— Gdyby pan był moim narzeczonym, Januszu, przyrzekłabym panu być dzielną i oczekiwać jego powrotu.

— Oh, Sabino, proszę się zastanowić. Czy mogłaby się pani zgodzić na ryzyko oczekiwania mnie?

— Nadzieja na uzdrowienie pana dodałaby mi sił.

— Raczej myśl o mej śmierci!

— Modliłabym się z całej duszy, by pan żył.

Zamilkł, nie mając odwagi więcej mówić, obawiając się zapewne, iż dalsze słowa mogłyby rozwiać nadzieję, którą dawały mu moje odpowiedzi.

Z drżenia rąk, z przyspieszonego oddechu, z głośnych uderzeń serca, które słyszałam w niczym niezamąconej ciszy, mogłam domyśleć się, iż owładnęło nim wielkie wzruszenie.

Upłynęło znowu kilka dni.

Przeżyłam je spokojnie, pogodnie, bez wstrząsów, nie odczuwając ani radości, ani żalu; w takim nastroju zapewne żyją ludzie, którzy zrobili ofiarę z życia, którzy już niczego nie oczekują od przyszłości, taką zapewne jest spokojna i obojętna rezygnacja zakonnic, zamkniętych w klasztorze.

Mimo tego wewnętrznego spokoju i osobistego zobojętnienia, nie przestałam interesować się losem tych, których kochałam.

Upłynęło znowu kilka dni.

Przeżyłam je spokojnie, pogodnie, bez wstrząsów, nie odczuwając ani radości, ani żalu; w takim nastroju zapewne żyją ludzie, którzy zrobili ofiarę ze swego życia, którzy już niczego nie oczekują od przyszłości, taką zapewne jest spokojna i obojętna rezygnacja zakonnic, zamkniętych w klasztorze.

Mimo tego wewnętrznego spokoju i osobistego zobojętnienia, nie przestałam interesować się losem tych, których kochałam.

Wysłałam list do paryskiego chirurga i z całego serca pragnęłam pomyślnego załatwienia tej sprawy.

Wreszcie nadeszła oczekiwana odpowiedź.

Pisząc do chirurga, dałam mu dokładne wyjaśnienia o pacjencie, o rozwoju jego choroby, o uprzednio stosowanych zabiegach, a zwłaszcza o obecnym normalnym stanie umysłowym chorego. Znakomity chirurg zainteresował się niezmiernie tym wypadkiem i wyraził chęć przeprowadzenia uzdrawiającej kuracji.

Stawiał jednak swe warunki, zaznaczając przede wszystkim, że dla powzięcia definitywnej decyzji, musi przyjechać do chorego i dokładnie go zbadać.

Gdy przeczytałam nieszczęśliwemu automatowi odpowiedź lekarza, był uszczęśli-

wiony ponad wszystkie moje przewidywania.

— Prędko, prędko, Sabino! Niech pani zaraz napisze do chirurga, iż go oczekujemy i prosimy o telegraficzne zawiadomienie o dniu przybycia, celem wysłania koni na dworzec.

Posłusznie, choć z obawą w sercu, napisałam pod dyktandem Janusza żądany list.

Po skończeniu go jednak, rzekłam nieśmiało:

— Siostra pana nie wie jeszcze o niczym, Januszu. Czy pan pomyślał o tym?

Uradowany, nie uważał tego za żadną przeszkodę.

— Pani zechce ją uprzedzić, poprosił mnie. Proszę jej powiedzieć, że zanim zdecydowała się pani mówić z nią o tej nowej metodzie leczenia, zasięgnęła pani dokładnych informacyj u chirurga i że teraz pragnie pani uzyskać jej zgodę. Gdyby trzeba było, niech pani poprosi doktora Audoin, by pomógł pani przekonać mą siostrę... Wreszcie, proszę wszystko zrobić, aby osiągnąć pożądany rezultat.

Widząc go tak radosnym i pełnym nadziei, przyrzekłam z zapałem, iż postaram się załatwić to jak najlepiej. Gdy jednak, po upływie godziny, znalazłam się w Presec, uczułam dziwne onieśmielenie wobec mej przyjaciółki.

Mimo to, zdając sobie dokładnie sprawę z konieczności rozmówienia się z nią, odważnie zaczęłam uroczystym głosem:

— Blanko, muszę z tobą pomówić.

— Słucham cię, odrzekła, zdziwiona nieco moim zachowaniem.

— Chodzi o twego brata.

Widziałam jak pobladła nagle.

— O Janusza? wybąkała. Co się stało.

— Wydaje mi się, iż należało by poddać go badaniu doktora Taillet, utalentowanego lekarza, który dokonał ostatnio w Paryżu cudownych wprost uzdrowień. Doktor Audoin twierdzi, iż jest on mistrzem w chirurgii.

— Rozmawiałaś o moim bracie z doktorem Audoin? wyszeptała.

— Tak, gdyż słyszał on o chorobie twego brata. On to właśnie namówił mnie, bym napisała do doktora Taillet.

Blanka zadrżała.

— Napisałaś?

Skinęłam głową twierdząco.

— Kiedy?

— Jakieś pięć dni temu.

— Odpowiedział?

— Dziś nadeszła odpowiedź.

— I co on pisze?

— Jest gotów podjąć się operacji. Chce jednak zbadać chorego przed powzięciem definitywnej decyzji.

— Dlaczego pan Audoin nie mówił o tym ze mną?

— Nie chciał jątrzyć twego bólu. Ja zaś jestem przyjaciółką, ale w każdym razie obcą... Rozumiał dobrze, że to nie jest to samo.

Blanka milczała, mówiłam więc dalej:

— Pojmujesz Blanko, nawet ja nie chciałam budzić w tobie najmniejszej nadziei, zanim nie upewniłam się, iż doktor Taillet podejmie się leczenia twego brata.

— Otrzymałaś dziś rano jego odpowiedź?

— Tak, dziś rano.

Poczułam nagle, iż rumienię się; w oczach Blanki, utkwionych w moich źrenicach, wyczytałam zdziwienie, iż dopiero teraz mówię jej o liście, otrzymanym kilka godzin temu.

Nie zwróciła mi jednak na to uwagi i zapytała:

— Czy sądzisz, iż brat mój podda się nowym zabiegom?

— Należy się tego spodziewać!... Przypuszczam, iż gdyby mógł mówić, zgodziłby się bez wahania.

— Tak myślisz, Sabino?

— Jestem przekonana, potwierdziłam.

Patrzyła na mnie poważnie dłuższą chwilę.

— Niech się więc stanie według twego życzenia, Sabino. Wiem jak bardzo jesteś życzliwa dla mego brata i dla mnie... jeśli sądzisz, iż Janusz może powrócić do zdrowia, nie trzeba niczego zaniedbać, by osiągnąć ten rezultat.

— Dziękuję ci za to zaufanie, Blanko. Wierz mi, iż serdeczna przyjaźń dla was obojga kieruje mną w tej chwili.

— Wiem o tym, wiem! zapewniała mnie, z uśmiechem na ustach. Spostrzegłam jednak łzy w jej oczach.

Wstrząśnięta tym, podbiegłam ku niej:

— Blanko, wybacz mi jeśli zrobiłam ci przykrość. Skoro cię to martwi, nie trzeba, nie trzeba!

— Sza! wyszeptała, kładąc palec na ustach. Czyż dobro mego brata nie jest ważniejsze od mych obaw i mego osobistego przekonania? Trzeba wypróbować każdą możliwość wyleczenia go. Nie możemy zaniedbać niczego w tym celu.

— Może jednak moja nadzieja jest płonna... może ten chirurg myli się.

— Przed chwilą, Sabino, wypowiedziałaś swoje zdanie, rzekła Blanka z powagą. Moja linia postępowania jest nakreślona twymi słowami. Wszak powiedziałaś mi: „Gdyby Janusz mógł mówić, zgodziłby się bez wahania" i tak myślałaś, nieprawdaż? Obraz Janusza, uniesionego radością na samą myśl o możliwości wyzdrowienia, stanął przed mymi oczami.

Skinęłam głową.

— Tak, jestem pewna, że brat twój żądałby tego nowego zabiegu.

— A więc! to zdecydowane: moim obowiązkiem kochającej siostry jest chcieć te-



Słynny angielski motocyklista, Eric Fernihough uległ ostatnio śmiertelnemu wypadkowi podczas próby pobicia rekordu światowego

go, czego on sobie życzy i czynić to, co on by uczynił. Napisz zatem do tego tego chirurga, Sabino, iż oczekujemy go z niecierpliwością.

Nie mogłam jej powiedzieć, iż list dawno został wysłany...

*

* *

I znowu dni biegły, w czasie których każdy z aktorów tego małego dramatu skupił się w sobie, w oczekiwaniu nieprzewidzianych wyników wizyty specjalisty.

Zaledwie ośmielaliśmy się rozmawiać z sobą.

Janusz żył w trwodze, lecz zarazem pełen nadziei, gotów nawet czynić projekty na przyszłość.

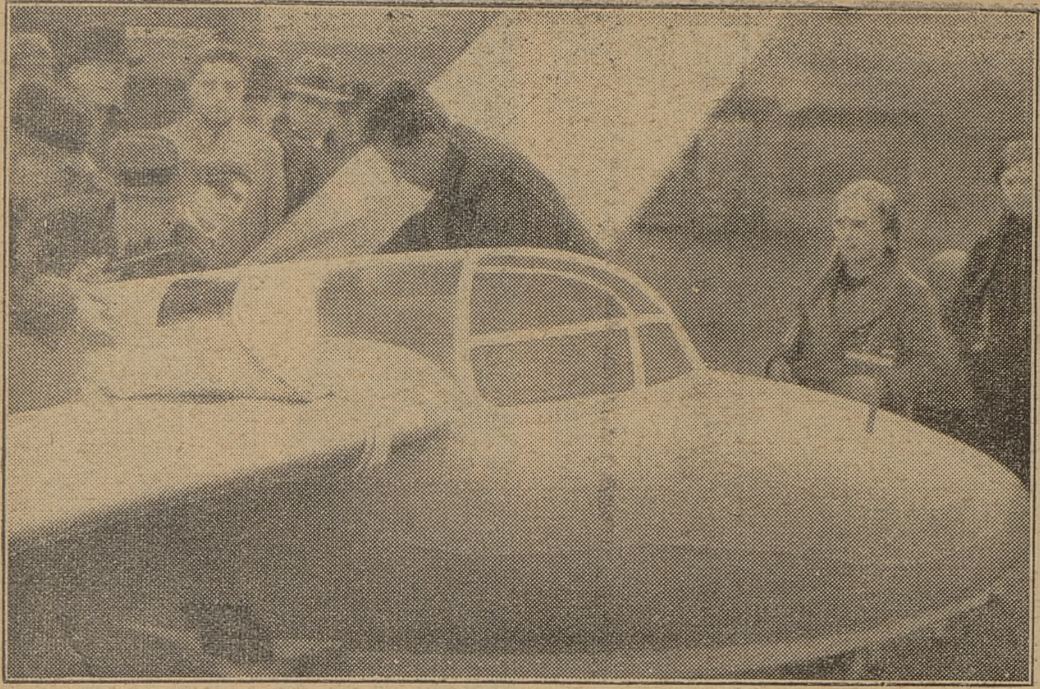
Blanka dopytywała się i mnie i doktora Audoin o tego paryskiego chirurga, mającego dokonać tylu zmian w jej życiu.

Czy rzeczywiście jest tak niezrównany? Czy możemy być pewni, iż to poważny lekarz? Czy może to tylko szarlatan, wykorzystujący naiwnych? A nawet jeśli to taka znakomitość, czy jest pewny, że operacja mu się uda? Na czym właściwie polega jego metoda? Czy nie należy obawiać się żadnego niebezpieczeństwa?

Biedna dziewczyna była pełna niepokoju i wahania. Doznawała tylko potrzeby mówienia, pytania, przeczuwając iż wszystko zostało ułożone poza jej plecami i że powiedzieliśmy jej tylko to, co nie dało się ukryć.

Doktór Audoin uspokajał ją: słowa chirurga były najlepszą rękojmią. Wymieniał jego cudowne uzdrowienia. Wspierał ją swoją wiarą, nie powiedział jednak tego, iż zabiegi lecznicze były bardzo niebezpieczne i bolesne.

Ja zaś zamknęłam się w sobie, unikając Blanki, której ustawiczny niepokój był moim wiecznym wyrzutem. Pocóż wciągnęłam jej brata w tę sprawę? Unikałam również Janusza, którego projekty na przy-



Niemiecki pilot szybowcowy dokonał przelotu z wyspy Sylt na Bałtyku do m. Syke na płd. od Bremeny.

szłość ciążyły na mym sercu, na mym przeznaczeniu, na mym życiu.

Wreszcie pewnego dnia nadeszła depesza na moje nazwisko.

Chirurg zapowiadał swoje przybycie na wieczór, prosząc mnie o zarezerwowanie dla niego pokoju w hotelu i o skomunikowanie się z nim zaraz po przyjeździe.

Bez słowa podałam depeszę Blance.

— Wyjadę po niego na dworzec! zawołała.

Płomień zabarwił jej policzki, była już rozgorączkowana mającą nastąpić konsultacją lekarza.

— Nie, Blanko, zaprotestowałam; twoja obecność na dworcu nie jest konieczną.

— Dlaczego to?

— Dlatego, iż wydaje mi się, że bardziej wskazanym jest twoje natychmiastowe udanie się do Belle Vue. Musisz przygotować brata na drobiazgowe badanie lekarskie, musisz dopilnować, aby nie brakowało niczego do tej trudnej auskultacji. Wreszcie sądzę, iż należy przygotować dla doktora odpowiedni pokój w pałacu i zarządzić dobry obiad. Musi on porządnie wypocząć po podróży, a nie znajdzie przecież tych wygód w skromnym hotelu miasteczkowym.

— Myślałam, Sabino, że ty zechcesz pojechać do Belle Vue zamiast mnie, ja zaś udam się na dworzec.

— Przepraszam cię, kochanie, ale ty jesteś przecież panią domu w Belle Vue, a nie ja. Pozatem, ja korespondowałam dotychczas z doktorem, nie zaś ty. Wreszcie, może będzie się on krępował zadawać pytania siostrze chorego, podczas gdy z obcą osobą, będzie mniej oględny...

— Jednym słowem, chcesz koniecznie zobaczyć go pierwsza?

Wzruszyłam ramionami z uśmiechem, nie chcąc nadawać żadnego znaczenia temu wzburzonemu zapytaniu.

— Wcale nie, odparłam łagodnie, zdaje mi się jednak, że to nie twoje miejsce na dworcu. Przyprowadzę ci doktora, i moja rola skończy się u twych drzwi, tam gdzie zacznie się twoja.

Dała się w końcu przekonać, co przyjęłam z wielką ulgą, jakże bowiem mogłabym inaczej uprzedzić doktora o tym, w jaki sposób porozumiewaliśmy się z Januszem? Pozatem, Janusz nadal żądał, by siostra jego nie dowiedziała się o tym, iż był on w pełni władz umysłowych, zależało mu na tym, by do samego końca była przekonana o jego nienormalnym stanie. Niezbędnym więc było, abym zobaczyła się pierwsza z chirurgiem dla udzielenia mu odpowiednich wyjaśnień.

Blanka przystała na to, by udać się do Belle Vue. Widziałam jednak, że nie podoba się jej to i, że moje nalegania sprawiły jej przykrość.

Przyzwyczaiłam się już co prawda po trochu do jej niezadowolenia, ulegając bowiem od pewnego czasu różnym kaprysom Janusza, narażałam się nieraz na sprzeciw ze strony jego siostry.

Zawsze ustępowała, nie chcąc odmawiać czegokolwiek dla dobra Janusza, czułam jednak, iż była nieraz zniecierpliwiona, gotowa zbuntować się przeciw memu wtargnięciu w życie jej brata.

* *
*

Pociąg zatrzymał się na dworcu.

Wysiadło kilku pasażerów. Znałam ich wszystkich z widzenia, oprócz jednego. Na nim więc zatrzymał się mój wzrok.

Był to mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni: wysoki, dość tęgi blondyn. Szerokie ramiona znamionowały siłę; bystre, chłodne oczy zdawały się wszystko spostrzegać, nie wysiadł bowiem jeszcze z wagonu, a już zauważył mnie, stojącą u wyjścia.

Nie zdążyłam nawet podejść do niego. Zanim jeszcze oddał swój bilet, zdjął przede mną kapelusz, jak gdyby znał mnie już od dłuższego czasu i złożył mi głęboki, i poważny ukłon, którego poprawność wskazywała, iż był to człowiek przyzwyczajony do wielkiego świata i do bogatych pacjentów.

— Panna Sabina de Presec, wszak prawda? rzekł zbliżając się do mnie.

— Tak, panie doktorze. Otrzymałam depeszę pana zaledwie przed paru godzinami.

— Wysłałem ją przed samym wyjazdem. Zechce mi pani wybaczyć, iż ośmieliłem się obarczać ją zarezerwowaniem pokoju w hotelu; nie przypuszczałem, iż moja uprzejma korespondentka jest tak młodą panienką. Z charakteru pisma domyślałem się, iż jest pani młodą osobą; tym niemniej jednak z pewnych zwrotów listu, z poważnego tonu... krótko mówiąc, miałem wrażenie, iż jest pani nieco starszą.

Onieśmielona tym dokładnym scharakteryzowaniem mych listów, zarumieniłam się gwałtownie.

— Nie jesteśmy jeszcze bardzo starzy wszyscy troje, to jest chory, jego siostra i ja wybąkałam. Mimo to jestem najmłodsza z całej paczki. Blanka ma dwadzieścia sześć lat, a jej brat — przyszły pacjent pana doktora — trzydzieści dwa.

Mówiąc to skierowaliśmy się do powozu z Belle Vue, na koźle którego, Nador tronował z niezwykle poważną miną.

Doktór wsiadł, kładąc przed sobą swój lekki bagaż.

Usadowiłam się obok niego.

— Panna de Saumarte sądzi, iż będzie panu wygodniej w Belle Vue, niż w skromnej oberży tutejszej, służącej za hotel. Prosi więc pana, doktorze, o skorzystanie z jej gościnności w ciągu tych paru godzin, które pan zamierza tu spędzić.

Wyraził zgodę skinieniem głowy.

— Proszę opowiedzieć mi o chorym.

Zaczęłam więc szeroko opowiadać, nie zatrzymując się co prawda dłużej na poprzednio stosowanych zabiegach, o których Blanka mogłaby poinformować dokładniej; byłam za to bardzo wymowna na temat zachowywania się automatu, jego tajemnicy, jego życzenia, by Blanka nie znała prawdy.

Lekarz zdziwił się niezmiernie tą potrzebą zachowania tajemnicy. Nie mógł zrozumieć, że człowiek wykreślił się dobrowolnie z listy żyjących w tym jedynie celu, by zapewnić siostrze fałszywy spokój.

— Ja również byłam zdumiona z początku tym dziwnym odosobnieniem moralnym, które ten nieszczęśnik sobie nakazał... i robiłam różne przypuszczenia! Z biegiem jednak tygodni, miesięcy, gdy zżyłam się z bratem i siostrą, gdy widziałam ich miłość i prawdziwe przywiązanie, gdy patrzyłam na oddanie jednej strony i niezmierny szacunek drugiej... zrozumiałam i przestałam wątpić. Zapewniam pana, iż to dla braterskiej miłości, Blanka żyje w zamknięciu, z dala od świata, nie chcąc wychodzić za mąż, a Janusz de Saumarte zamyka się w sobie i ukrywa przed wszystkimi swój rzeczywisty stan umysłowy.

— To niezwykli ludzie, rzadko dziś spotykani, jeśli jest tak rzeczywiście. Przyrzekam pani uczynić wszystko co będzie w mej mocy, aby, jeśli Bóg pozwoli, wyleczyć przyjaciela pani.

Tak rozmawiając dojechaliśmy do Belle Vue i powóz stanął wkrótce przed domem.

Blanka, wyglądająca zapewne naszego przyjazdu, wyszła odrazu na nasze spotkanie.

Czy była to uprzejmość wielkiej damy, czy też naprawdę nabrała zaufania do tego człowieka wiedzy, którego jej przyprowadzałam, dość, że przyjęła go nadzwyczaj uprzejmie i już od pierwszych słów powitania poznałam, iż wyzbyła się wszelkich zastrzeżeń co do niego. C.d.n.

WOJCIECH HOLM

80)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Wreszcie zobaczyła Leona przechodzącego pieszo ulicą.

— Dlaczego nie konno? — pomyślała — i dokąd?

Rzekłszy gospodarzowi, że zaraz wróci, wyszła na ulicę i postępowała w pewnym oddaleniu za Leonem, chowając się od czasu do czasu za domy, aby jej Leon nie zobaczył.

Tak przeszli kilka ulic; Leon wszedł do magazynu ubiorów męskich. Bawił tam dość długo, a gdy wyszedł, Francis ledwo go poznała, tak był elegancki.

W ręku niósł zgrabną walizę, w której pewnie była reszta kupionej garderoby.

Skinął na chłopaka przechodzącego ulicą i dał kuferek, aby go za nim niósł.

Za nim w pewnym oddaleniu, posuwała się znów Francis.

Była pewna, że jej teraz nie pozna, choćby się nawet odwrócił.

Nie miał pojęcia, że ona tu się znajduje, a przez ulicę przechodziło tylu chłopców w podobnym ubraniu, co ona.

Leon szedł, jak Francis przypuszczała, na dworzec kolejowy. Przystąpił do kasy, aby kupić bilet, lecz niestety, dziewczyna nie mogła słyszeć dokąd, gdyż obawiała się zbyt blisko do niego przystąpić.

Gdy się miejsce przy kasie opróżniło, przystąpiła Franciszka do niej, zażądała biletu do następnej stacji i zapytała:

— Czy mogłabym się dowiedzieć, dokąd ten pan przed chwilą wziął bilet?

— Do Quebeck! — była odpowiedź.

Wystarczyło to Francis.

Zaczekała do ostatniego sygnału, a pomieszawszy się z tłumem, odważyła się wyjść na peron.

Widziała jak Leon wsiadał do wagonu i jak pociąg odjeżdżał. Potem odeszła ze złowrogim uśmiechem, kupiwszy jeszcze przedtem numer gazety u kolportera.

Wyczytała z niej, że nazajutrz odjeżdża z Quebeck parowiec do Europy, a z rozkładu jazdy zobaczyła, że Leon dziś w nocy jeszcze tam będzie i że tym okrętem pewnie do Europy wróci.

Potem zatopiła się znów w czytaniu wiadomości okrętowych i zobaczywszy, że za trzy dni odjeżdża z portu Washington parowiec „Star of America", postanowiła udać się nim do Europy.

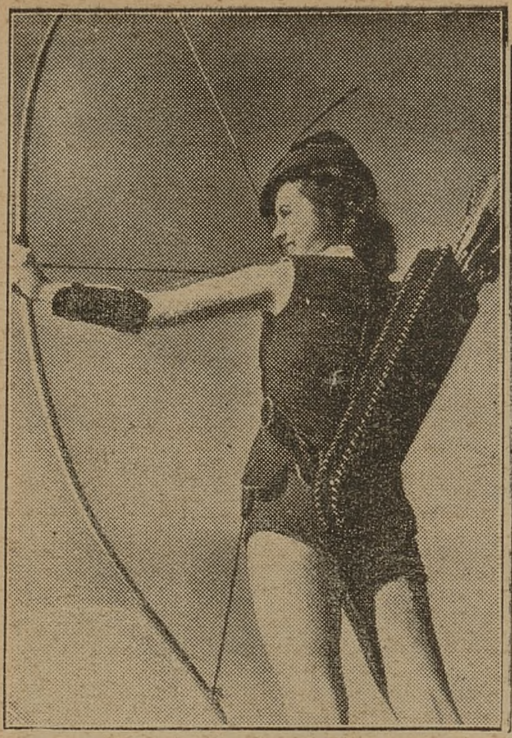
Wróciła do swego zajazdu z postanowieniem wypoczęcia i posilenia się, ale nie mogła ani kęsa do ust wziąć, ani powieki do snu jej się nie kleiły.

Po głowie chodziły jej tysiączne awanturnicze myśli i plany zemsty, a z drugiej strony, trapiła ją obawa, że jej się plany te nie udadzą.

Wreszcie zaczęło dnieć i Francis zerwała się bardzo wcześnie.

Sprzedała konia swego za bezcen, zapłaciła gospodarzowi rachunek i poszła do miasta.

Tam wyszukała magazyn konfekcji damskiej i kazała sobie pokazać kostium dla panny, mniej więcej tego wzrostu co ona.



Nowoczesna łuczniczka w stroju wybitnie plażowym

Jeden z chłopców sklepowych, rzuciwszy na Francis przelotne spojrzenie, przyniósł jej do wyboru kilka jaskrawo kraciastych sukien, myśląc, że to wystarczy dla kupującego, po wiejsku ubranego chłopaka.

— Coś lepszego i modniejszego — była odpowiedź Francis — a przede wszystkim nie tak jaskrawego, bo tego nie lubię. Chciałbym coś w granatowym lub szarym kolorze!

Chłopak sklepowy, popatrzył zdziwiony na swego gościa w chłopskim ubraniu, nie licującym z jego wymaganiami, ale przyniósł lepszy towar do wyboru.

Francis wybrała dwie ładne suknie, płaszcz, kapelusz, spodnie i ubranie; w innym sklepie kupiła bieliznę, buciki itp. przybory toaletowe. Wreszcie kupiła jeszcze długi płaszcz podróżny damski, w który się teraz ubrała, i nasadziwszy w ciemności damski kapelusz, który niedawno kupiła, wsunęła czapkę do kieszeni i weszła do hotelu „pod Lwem" do którego kazała sobie resztę rzeczy posłać.

Wszedłszy do wskazanego pokoju, przebrała się prędziutko i wyglądała tak elegancko, że nikt nie byłby w niej poznał owego prowincjonalnego chłopaka z dnia poprzedniego.

Z upodobaniem spojrzała Francis w lustro. W eleganckim tym ubraniu uwydatniła się jej dopiero cała jej piękność, świeżość twarzy i postaci. Krótkie włosy nie raziły wcale, gdyż było to w modzie. Postanowiła jeszcze pielęgnować ręce podczas jazdy, zepsute pracą około gospodarstwa, i mimo, że nie była próżną, cieszyła się z przystojnego swego wyglądu, tym bardziej, że to miało poprzeć jej plany.

Nazajutrz rano wyjechała do Washingtonu, a stamtąd okrętem „Star of America" do Europy.

Dwa dni przedtem odbił Leon od brzegu, z portu Quebeck.

Jak sprzecznie uczucia kierowały obu tymi ludźmi.

Leona pędziła najświętsza i najczystsza miłość, Francis nie czuła nic więcej, prócz nienawiści i chęci zemsty.

Było do przewidzenia, że między nimi powstanie gwałtowna walka.

Kto z niej jednak wyjdzie zwycięsko?

ROZDZIAŁ CCCII.

Do odważnych świat należy

Po pierwszym paroksyźmie bólu, zaczął się Bill namyślać nad powodem ucieczki ukochanej dziewczyny.

Czy mogło to mieć jaki związek z odjazdem Leona? — medytował. — Była ona tego dnia tak dziwnie czułą wobec niego, jak gdyby się poczuwała do jakiejś winy!

Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej się utrwalał w przekonaniu, że Francis działała w porozumieniu z Leonem, z którym pewnie ułożyła plan ucieczki.

Zdawało mu się, że oni nie wyjechali razem dlatego tylko, aby zazdrości jego nie drażnić i podejrzenie jego uśpić, i że pewno mieli się spotkać w oznaczonym miejscu.

Fałsz i podstęp obu tych ludzi, do których całe serce jego należało, tak Billa oburzył, iż postanowił koniecznie sprawę tę wyświetlić, choćby nawet do Europy pojechać musiał.

Aby z wykonaniem nie zwlekać, udał się natychmiast do braci Harcourt i oznajmił pełnomocnikowi ich krótko i węzłowato, że wyjeżdża na czas nieoznaczony w ważnym interesie.

— Cóż znowu? — spytał pełnomocnik zdziwiony — przecież pan Jim dziś rano odjechał, a obydwaj naraz nie możecie przecież panowie opuszczać interesu; któż go w zastępstwie panów doglądać będzie?

— Pan — odparł Bill spokojnie. — Ofiaruję panu dwa procent od sumy, którą pan w nieobecności mej zainkasuje dla mnie. Dostarczaliśmy panu codziennie za 20 dolarów nafty, t. zn., że pan miałby dziennie poboczny dochód 40 dolarów, gdyby pan zechciał kontrolować robotników w kopalni. Zgadza się to zupełnie z czynnością pana w interesie Harcourt'ów. Proszę się więc na propozycję moją zgodzić!

Pełnomocnik Harcourt'ów zgodził się chętnie na to, a Bill mógł spokojnie opuścić New-Limmerick, bo wiedział, że na jego uczciwości może polegać.

Osobiście było by mu nic nie zależało na stracie kilkudziesięciu tysięcy. Chodziło mu tylko o część Leona, który własność swą jemu powierzył, a którego zaufania nie chciał zdradzić.

Poczynił więc wszystkie możliwe kroki ostrożności, pisemne i ustne i zabezpieczywszy się u braci Harcourt i ich pełnomocnika, zamknął dom swój na klucz i popędził konno do Great-Limmerick, tą samą drogą, którą Francis kilka godzin wcześniej przejeżdżała.

Przypadkowo wstąpił do tej samej karczmy, w której popasał Leon i Francis i kazawszy sobie podać coś do picia, zapytał gospodarza, czy tędy nie przejeżdżał pan Jim.

— Czy pan Jim może z kasą uciekł? — zapytał gospodarz, uśmiechając się. — Bo mnie się dziś już drugi raz pytają o niego. Pan Jim przejeżdżał tędy do Montrealu i pytał się mnie o pociągi do Quebeck. Jak pan prędko pogalopuje, to może go pan



Berlińską orkiestrą filharmoniczną dyrygował ostatnio brat japońskiego premiera, Hidemaro Konoye

jeszcze w Quebeck przyłapać i odebrać mu pieniądze.

— Stul gębę, bo ci wszystkie zęby powybijam, ty psie! — krzyknął Bill. — Jak ty śmiesz podejrzewać pana Jima o złodziejstwo? Ty łotrze!

— Myślałem tak tylko — jęknął gospodarz onieśmielony — bo dziś rano już przejeżdżał tędy jeden młody człowiek i pytał bardzo zaniepokojony o pana Jima. Musiałem chcąc nie chcąc przyjść na tę myśl, gdy się pan po raz drugi o niego zapytał.

— A jak ten młody człowiek wyglądał? — badał znów Bill zirytowany.

Poznał Francis z opisu gospodarza, i zmarszczywszy brwi, wypił resztę swego trunku, rzucił zapłatę na stół i popędził jak szalony.

Jadąc do Montrealu przysięgał w duchu zemstę na niewiernym przyjacielu i fałszywej dziewczynie, która go wraz z Jimem tak nikczemnie okłamywała i oszukiwała. Zdawało mu się bowiem, że zeznania gospodarza potwierdziły jego podejrzenia, co do wspólnie uknutego planu ucieczki tych obojga.

Pędził tak godzinami bez wytchnienia, mimo, że noc zapadła i przejechał obok karczmy, w której nocowali Jim i Francis, nie mając najlżejszego przeczucia, że tu wypoczywają ci, których on szuka.

Gdyby był tu zajechał, byłyby się wątpliwości jego rozjaśniły, bo po sposobie jak się Francis przed Leonem kryła, byłby poznał, że między nimi nie było żadnego porozumienia.

Ale on pędził, jakby furiami gnany, tak, że mu koń w drodze padł nieżywy. Bez cienia żalu zostawił go w polu i resztę drogi przeleciał pieszo.

Nie myślał o niczym więcej, jak tylko o przyłapaniu uciekinierów.

Nad ranem przybył do Montrealu, dopytując się we wszystkich hotelach o dwóch podróżnych, którzy z Great-Limmericku konno przybyć mieli, ale nigdzie znaleźć ich nie mógł, i nikt ich nie widział.

Było to naturalne, gdyż byli oni dopiero w drodze do Montrealu, ale Billowi zdawało się, że oni nocą już tędy przejeżdżać musieli, i że się nigdzie nie zatrzymywali.

Popędził więc niezwłocznie na dworzec i wskoczył bez biletu nawet do pociągu, który w tej chwili właśnie odjeżdżał do Quebeck.

Na każdej stacji wysiadał i rozglądał się, czy zbiegów nie zobaczy, ale nigdzie śladu ich nie było.

W Quebeck wyskoczył pierwszy z wagonu i patrzał bacznie na wychodzący tłum, czy ich gdzie nie zobaczy, ale ich naturalnie zobaczyć nie mógł.

Upadał on prawie ze znużenia i utrapienia, ale mimo to udał się jeszcze do portu, gdzie się dowiedział, że następny parowiec do Europy odjeżdża jutro.

Był pewny, że tym okrętem obaj zdrajcy odjadą i stanąwszy u wejścia do portu, śledził każdą wchodzącą tam osobę.

Stał tam tak, aż do późnego wieczora bez jadła i napoju, i dopiero gdy zobaczył, że ruch w porcie zupełnie ustał, zaszedł do małej karczmy w pobliżu.

Teraz dopiero uczuł znużenie, po półtoradniowym wysiłku i poszczeniu padł wyczerpany na łóżko, dawszy poprzednio ostry nakaz, aby go nad ranem zbudzili.

Ledwie dnieć zaczęło, stał Bill już znowu u wejścia do portu, spodziewając się nadejścia ich lada chwili.

Tak upłynęło mu znów kilka godzin na bezowocnym czekaniu.

Zaczął już podejrzewać, że oni inną drogę obrali i zacisnął pięści na samą myśl. Krew uderzyła mu do twarzy i rozpacz go zaczęła ogarniać, gdy wtem uczuł nagle, że ktoś mu rękę położył na ramieniu i znany mu głos zawołał radośnie:

— Billu, mój chłopcze, czy to możliwe, że ty tu jesteś?

Bill odwrócił się z przerażeniem i zobaczył Leona, który utkwił w niego zdziwione, ale radością jaśniejące oczy. Był on sam.

— Gdzie Francis? — wyjęknął Bill z trudnością.

— Co za pytanie? — odparł Leon zdziwiony. — Zostawiłem ją przecież pod twoją opieką! Ale skąd ty się tu wziąłeś, Billu? Mów prędko!

— Przysięgnij mi, że Francis nie jest z tobą! — zawołał Bill rozpaczliwie.

— Człowieku, czyś oszalał? — odparł Leon zirytowany. — Co to ma znaczyć? Co się z Francis stało? Na Boga świętego, mów, odpowiedz!

— Przysięgnij mi, że Francis nie za twoim porozumieniem uciekła z domu! — wyjęknął znów Bill głucho, przewiercając przyjaciela oczyma, jak gdyby mu chciał w głąb duszy zaglądnąć!

— Więc Francis uciekła! — przeraził się Leon — lecz, chyba się jej nic złego nie stało! Uspokój mnie, Billu. Wiesz przecież, że obiecałem jej ojcu, iż się nią zaopiekuję!

Przerażenie jego tak było szczere, że Bill nie wątpił już więcej w prawdę jego słów. Jeden ciężar spadł mu więc z serca: odzyskał wiarę w przyjaciela! Chodziło teraz już tylko o to, co się z Francis stało! Zajęty swoimi myślami, nie odpowiadał Bill na pytanie Leona.

— Co się stało z Francis? — powtórzył Leon zaniepokojony. — I dlatego ty tu przybyłeś? Wiesz przecież, że się uważam za jej opiekuna. Mów!

— Francis uciekła! — rzekł Bill. — Wkrótce po tobie opuściła New-Limmerick nie powiedziawszy mi wpierw ani słowa o tym! Przyleciałem tu za nią, bo myślałem — nie powiem ci, o co cię podejrzewałem, Jimie, i proszę cię za to o przebaczenie!

Podał mu rękę, a Leon uścisnął szczerze jego dłoń.

Domyślił się teraz, o co go Bill podejrzewał, ale mu tego nie miał za złe.

— Wszystko inne jest głupstwem — zawołał Leon — chodzi teraz tylko o wynalezienie dziewczyny! Nie będę miał spokoju, dopóki jej nie odszukamy. Za godzinę mój parowiec odjeżdża, ale najchętniej bym został, aby za nią szukać!

— Zostaw to mnie! — rzekł Bill — przysięgam ci, że nie spocznę, dopóki na ślad jej nie wpadnę i że ją znów wezmę w swoją opiekę. Wiesz przecież, jak ją kocham!

— Przeczuwałem to — rzekł Leon wzruszony — i polegam całkowicie na tobie! Mnie serce ciągnie do Europy.

— Jedź i bądź szczęśliwy! — odparł Bill. — Ja ją już znajdę.

— A może ona siedzi spokojnie w New-Limmerick — rzekł Leon — a ty dałeś się zwieść swej irytacji i podejrzeniom?

Wtem ozwał się sygnał, wzywający podróżnych na okręt i obaj przyjaciele pożegnali się serdecznie. Leon udał się na pokład, a Bill popędził do urzędu telegraficznego i zadepeszował do swego pełnomocnika, pana Johnsona:

„Czy Francis jest w New Limmerick i czy go w tamtejszej okolicy w ciągu ostatnich trzech dni widziano? Płacić po 10 dolarów za każdą wiadomość o niej!"

W największym niepokoju, przeczekał Bill tych kilka godzin, dopóki odpowiedź nie nadeszła! Brzmiała ona tak:

„Francis nie ma w New Limmerick. Wczoraj rano widziano go w Montrealu jak wychodził ze sklepu „Lick and Carrol". Więcej nie mogłem się dowiedzieć".

Wiadomość ta uspokoiła Billa trochę, gdyż dręczyła go przedtem obawa, że dziewczyna mogła się była targnąć na swe życie.

Udał się wprost na dworzec i powrócił do Montrealu.

Czas jazdy wydawał mu się nieskończenie długim. Wysiadłszy w Montrealu, pojechał niezwłocznie dorożką do magazynu Lick Carrol i przybył w chwili, gdy sklep zamykano.

— Halo — zawołał Bill zamykającemu chłopcu sklepowemu — który z was mi odpowie na kilka pytań, to dostanie 50 dolarów.

Patrzyli oni ze zdziwieniem na nieokrzesanego i źle ubranego Billa, a jeden odparł:

— Proszę tylko pytać, a my panu chętnie odpowiemy.

— A więc — zaczął Bill — który z was widział wczoraj w sklepie młodego chłopaka w podobnym ubraniu jak moje? Mówił bardzo dobrze po angielsku i miał kobiecy głos.

— Ja obsługiwałem tego pana — rzekł jeden z chłopców — miał jasne, faliste włosy, niebieskie oczy i jasną cerę. Twarz miał ładną, ale był bardzo mały i wątły.

— Tak, to on! — zawołał Bill uradowany — a co on tu kupował?

Chłopak wyliczył wszystko, co temu młodemu panu sprzedał i dodał, że posłał te rzeczy na żądanie tego pana, do hotelu „pod Lwem".

Zadowolony z tych informacyj Bill, dał im obiecanych 50 dolarów i pojechał wprost do hotelu „pod Lwem".

Wsunąwszy portierowi hotelowemu suty napiwek w rękę zapytał, czy między gośćmi hotelowymi jest młoda dama tej i tej powierzchowności, której wczoraj przyniesiono ze sklepu Lick Carrol duży pakunek z towarem.

— Ach, to numer 13-sty! — odparł portier, który zwykł był nazywać gości, według numeru ich pokoju — wyjechała dzisiaj rano do Washingtonu.

— Czy jesteście tego całkiem pewni? — spytał Bil.

— Jestem całkiem pewny — odparł tenże — zamówiła dorożkę do pociągu do Washingtonu.

— A kiedy odchodzi następny pociąg w tamtą stronę? — zapytał znów Bill.

— Dopiero jutro o 7-ej rano — była odpowiedź portiera — tym pociągiem numer 13-sty dziś odjechał!

— Całą noc przepędzić bezczynnie? — zawołał Bill gniewnie.

Nie pozostawało mu jednak nic innego, jak wziąć pokój w hotelu „pod Lwem" i przeczekać aż do jutra.

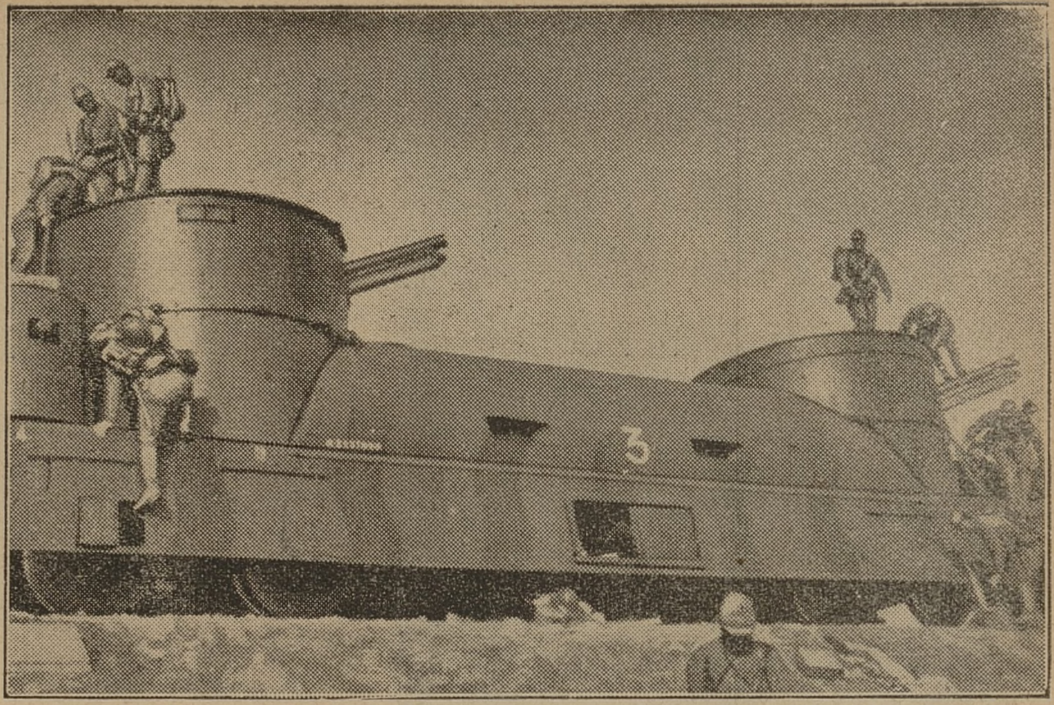
— Co Francis może chcieć we Washingtonie? — pomyślał i wziął gazetę do ręki, z której się dowiedział, że okręt „Star of America" odpływa jutro z Washingtonu do Europy. Teraz domyślił się, o co Francis chodziło: wybierała ona się do Europy, to było jasne, ale po co?

Myśląc nad powodem jej wyprawy, rzucił się na łóżko i usnął mocno.

Nazajutrz raniutko, wyjechał do Washingtonu i udawszy się wprost do portu, zapytał o okręt „Star of America".

— Okręt ten wypłynął dziś rano z portu — była odpowiedź.

Bill nie mógł się wstrzymać od okrzyku boleści, gdy usłyszał tę wiadomość.



Japończycy zdobyli ostatnio nowoczesny pociąg pancerny Chińczyków.

Był to dla niego okropny cios, ale opanowawszy się, pomyślał nad tym, co mu teraz czynić wypada.

Przede wszystkim chciał się dowiedzieć, czy Francis rzeczywiście okrętem tym wyjechała.

Niedużym kosztem postarał się on o wejrzenie do listy pasażerów okrętu „Star of America" i zobaczył tam czarno na białym podpis Francis, jako pasażerki pierwszej klasy.

Był więc na tropie jej, a przecież jej nie odnalazł. Wiedział gdzie ona się znajduje, a przecież nie mógł za nią podążyć.

Dla Billa nie było jednak niemożliwości!

Zapytawszy, kiedy następny statek odchodzi do Europy, dowiedział się, że dopiero za 3 tygodnie.

Nagle strzeliła mu myśl do głowy:

Jeżeli mam trzy tygodnie czekać na drugi okręt, to dobrą łodzią można by jeszcze dopędzić okręt „Star of America", który dopiero rano stąd odbił!

Nie zastanawiając się dużo nad tym, przemówił do pierwszego, opalonego żeglarza, który siedział, kołysząc się na swojej łódce.

— Ile byście za to żądali przyjacielu — zapytał — aby ze mną dogonić okręt „Star of America"?

— Nic — odparł zapytany — bo nie podjąłbym się tego.

— Nie bądźcie tchórzem — rzekł Bill — daję wam sto dolarów za to!

— Widać, że pan nie zna morza — odparł żeglarz nie ruszając się z miejsca — bo inaczej nie mówiłby pan tak!

— Dam 200 dolarów — krzyknął Bill dla zachęcenia.

— I choćby pan tysiąc dawał, ja nie podjąłbym się tego — była znów odpowiedź żeglarza — czyż nie widzi pan, jakie morze wzburzone? Fale przewróciłyby moją łódkę jak łupinę orzecha! Niech pan także pomyśli, że ten okręt przed 10 godzinami wyjechał. Gdybym go nawet dopędził, to z pewnością nie powróciłbym żywy, bo widzi pan tę małą chmurkę na horyzoncie? To będzie wielka burza!

Tymczasem zgromadziła się wokoło niech cała zgraja majtków i żeglarzy i przysłuchiwała się ich rozmowie.

— Kto z was chce zarobić tysiąc dolarów za przewiezienie mnie do okrętu „Star of America" — przemówił Bill do zgromadzonych.

Ale wszyscy milczeli, kiwając głowami i wzruszając ramionami.

— Po co nam tysiąc dolarów — rzekł jeden stary marynarz — jak mamy za to życie nasze narażać?

— Wolimy być biedni, a żyć! — zawołała reszta.

— O, wy tchórze! — krzyknął Bill gniewnie. — Który z was mi sprzeda swoją łódź? Ja sam się na morze puścić odważę!

— Panie, to śmierć! — przestrzegali go żeglarze.

— A co mi pan da, jak pana do okrętu dowiozę?

— Tysiąc dolarów — powtórzył Bill.

— Brawo! — krzyknął młodzieniaszek uradowany — zarobię tysiączkę i ożenię się z moją Nelą!

— Twoja Nela owdowieje jeszcze przed weselem — ostrzegał go jeden ze starszych — pamiętaj, że nie wrócisz żyw!

— Ależ — odrzekł młodzieniec z ufnością — do odważnych należy świat i tysiąc dolarów do tego. Jutro będziecie się złościli, żeście wy pieniędzy tych nie zarobili!...

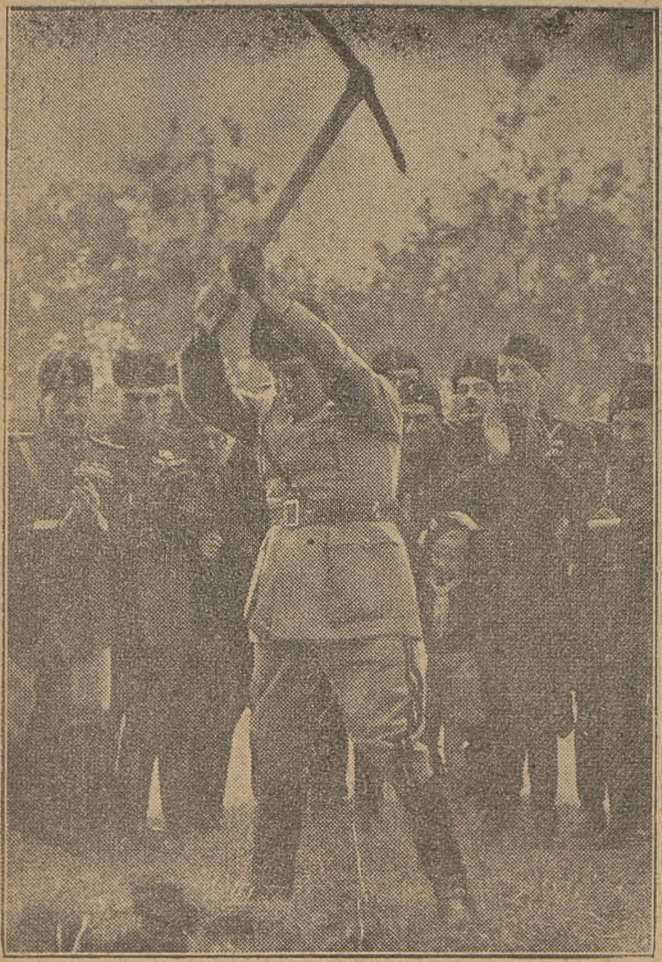
— Albo Nela będzie płakała i zawodziła!

— Szkoda by było jej pięknych oczu — zawołał — ale w każdym razie będzie miała na pocieszenie tysiąc dolarów. Prawda panie — zwrócił się do Billa — że mi pan naprzód wypłaci tysiączkę, abym je mógł dać swej narzeczonej, na wypadek swej śmierci?

Bill wręczył chętnie sumę z góry, a Kon oddawszy ją do przechowania starszemu z obecnych wśród pewnych formalności i zastrzeżeń, pobiegł, aby przygotować łódź. Potem wskoczył do niej i zawołał:

— Nie przestraszajcie mi Neli niepotrzebnie, a gdybym rzeczywiście nie wrócił więcej, to oddajcie ode mnie tysiączne ukłony.

Z nad brzegu odezwały się głośne okrzyki pozostałych żeglarzy i wkrótce zniknęła im mała łódka z oczu.



Mussolini symbolicznym uderzeniem oskarda zapoczątkował prace przy budowie nowej drogi — Via Imperiale.

Bill siedział u steru, a Kon wiosłował silnie, patrząc ciągle na niebo.

Tak zeszło im kilka godzin w zupełnym milczeniu.

— Panie — rzekł wreszcie żeglarz — jak się nam poszczęści to dopędzimy okręt jeszcze przed burzą. Wtedy ja zostanę na pokładzie, dopóki burza nie przejdzie, a potem wrócę do domu. Ale całkiem bezpieczny ten powrót nie będzie.

— Niech nas Bóg ma w swej opiece — odparł Bill solennie. Potem znów umilkli.

Mała łódź przerzynała fale z szybkością strzały, zostawiając za sobą błyszczące bruzdy.

Bill i Kon pracowali z całej siły. Przeszło znów kilka godzin w ponurym milczeniu.

Nagle wyrwał się z ust młodego żeglarza okrzyk radości.

— Panie — zawołał on, wskazując Billowi czarny punkt na horyzoncie — oto okręt „Star of America"! Musiało się tam coś stać, bo inaczej byliby już o wiele dalej.

Wiadomość ta dodała obu żeglarzom siły do dalszej pracy.

Wieczór szybko zapadał, morze było spokojne, a wschodzący księżyc oświecił czyste niebo. Grożące chmury przesunęły się nad nimi bez burzy.

Przy świetle księżyca posuwała się mała łódka szybko dalej.

O świcie zobaczyła załoga okrętu „Star of America" mały żaglowiec zdążający za nimi z nadzwyczajną szybkością.

Dano znak, na który Bill jak najgłośniej odpowiedział.

Kapitan i część pasażerów wyszli na pokład, aby się przypatrzeć łodzi, ale nikt z nich nie przeczuwał, co spowodowało tych odważnych żeglarzy, puścić się tak daleko na pełne morze.

— Czego chcecie? — spytał kapitan przez tubę, gdy się łódź do parowca zbliżyła.

— Spuście drabinę, abym się na pokład wasz mógł dostać — odparł Bill.

Musiał jednak kilka razy żądanie swe powtórzyć, nim go kapitan zrozumiał.

Spuszczono mu drabinę, a Bill uścisnąwszy Konowi serdecznie rękę na pożegnanie, wdrapał się zręcznie po drabinie na pokład okrętu.

— Czego sobie pan właściwie rzeczy? — powtórzył kapitan swe pytanie.

— Chciałbym okrętem tym odbyć z wami podróż do Europy — odparł Bill spokojnie — ile kosztuje bilet, panie kapitanie? Zapłaciłbym zaraz!

Kapitan roześmiał się głośno, a za nim wszyscy obecni.

Odważny czyn Billa, uczynił go jednym zamachem bohaterem dnia.

Pełny portfel, który pokazał, płacąc za przejażdżkę, zwiększył szacunek obecnych dla niego.

Siadłszy do śniadania, odpowiadał swobodnie na zadane mu pytania, gdy wtem wyszła młoda dziewczyna ze swej kajuty i przystanęła zatrwożona słysząc dobrze znany jej głos Billa.

Potem postąpiła żywo kilka kroków naprzód i popatrzyła z przerażeniem w twarz olbrzyma.

Tak, to był Bill!

Wydał głośny okrzyk radości.

— Mam cię wreszcie! — zawołał uszczęśliwiony.

Francis nie wymówiła ani słowa lecz padła z głuchym jękiem nieprzytomna w jego ramiona.

ROZDZIAŁ CCCIV

Niespodzianie i nie na rękę

W sanatorium doktora Silasa, szło tymczasem wszystko zwykłym trybem dalej.

Szanowny czytelnik pozwoli, że się cofniemy o kilka tygodni wstecz.

Ze zdziwieniem i oburzeniem, przeczytał doktor Silas w gazecie odezwę do Ismary Kohena i miał ją jeszcze w ręce, gdy weszła elegancka i ładna jak zawsze pani Willemer, w twarzowym porannym stroju i pięknym czepeczku na głowie.

— Niech sobie pani wyobrazi — zawołał doktor zirytowany — że ktoś ostrzegł odezwą w gazecie owego łotra, który sprowadził pannę Herbert do mego sanatorium. Gdybym się mógł dowiedzieć, kto to uczynił, to dałbym mu w twarz za jego zdradę.

Każda inna na miejscu pani Willemer, byłaby straciła przytomność umysłu, ale ona umiała się opanować.

Gdy umieszczała inserat ten, w jednej z najbardziej czytanych gazet, musiała się z góry na to przygotować, że Silas go spostrzeże, ale temu nie mogła zaradzić.

Chodziło jej bowiem o to, aby ta odezwa doszła do rąk Ismara Kohena, a najbardziej rozpowszechniony dziennik, dawał największe szanse tego.

Przebiegła pani Willemer, sprzątnęła w dzień ukazania się inseratu gazetę, nim ją dyrektor przeczytał, a był on tego dnia tak zajęty, że nie miał czasu na czytanie.

Następnego dnia wybuchła katastrofa ze Sylwią i Silas, wrócił dopiero nad wieczorem z Wiednia.

Trapiła go ciągle myśl, że stał się bezwiednie narzędziem jakiegoś oszusta, i aby się obronić tym przykrym myślom, chwycił gazetę. Ku swemu zdziwieniu znalazł w niej koniec popularnej rozprawy o słabościach dziecinnych.

Zręcznie napisany i zajmujący ten artykuł, wypracowany był przez asystenta zakładu, doktora Wernera.

— Muszę przeczytać początek — rzekł Silas, szczerze zainteresowany pracą swego asystenta i zadzwoniwszy na służącego rozkazał, aby mu wyszukano wczorajszą gazetę.

Po krótkim czasie powrócił służący i oznajmił doktorowi, że wczorajszego numeru nigdzie nie mógł znaleźć i dodał:

— Pan doktor Werner dostał jednak wczoraj cały pakiet gazet. Czy mam jego o wczorajszy numer poprosić?

— Ja go już sam o to poproszę — rzekł Silas i poszedł sam do młodego swego kolegi, aby mu wyrazić swe uznanie za udaną pracę.

— Początek artykułu jest we wczorajszej gazecie — odparł Werner zadowolony z pochwał pryncypała — przysłano mi wczoraj z redakcji kilka egzemplarzy.

To rzekłszy wręczył doktorowi Silasowi wczorajszy numer gazety i doktor odszedł wnet do swego pokoju. Ledwo ją rozłożył, padł wzrok jego na inserat drukowany tłustym drukiem:

„Ismar Kohen!
Niebezpieczeństwo grozi!"

W chwili czytania tego ogłoszenia, weszła pani Willemer, a Silas wyraził wobec niej swe oburzenie.

Była ona przebiegła. Uśmiechnęła się lekko i postanowiła powiedzieć mu część prawdy, nie z uczciwości, tylko z wyrachowania.

Pomyślała bowiem, że to się łatwo mogło wydać, że to od niej wyszło, a gdyby wiadomość ta doszła doktora Silasa z in-

(Ciąg dalszy na stronie 373)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

DZIEŃ

Szaro - błękitny cień
w dole — —
liliowe smugi —
budzi się brzaskiem różowym,
kroczy przez senne pola
dzień — —

Wiatr w srebrnopiennych brzozach
liśćmi... jak struną potrąca
śpiewnie —
Różowym pąkowiem stulistnym
wystrzeli rakietą złotą
słońce!

Zatrzepotało w gęstwinie,
Zbłękitniał zszarzały
w dole
cień —
Chłód rześwy przetarł
poranka czoło,
zaśpiewał w polu
hymnem radosnym —
dzień!

Józef Baranowski.

PROJEKT PANA PODDAŁAM GŁOSOWANIU

„Samotny — Chorzów I." Odpowiadam na list Pana z marca — wcześniej nie mogłam! Wiele spraw poruszonych w liście przekreślił już lekko czas i stały się mało aktualne. Niemniej postaram się załatwić te, które wydają mi się jeszcze potrzebujące załatwienia. I tak, zamieszczę apel o zwrot Pana fotografij, dalej dam do „Krainy" Pana podobiznę zaraz po nadesłaniu mi dobrego zdjęcia.

Pytał mnie Pan również, czy może napisać do wymienionych 2 pseudonimów — nie radzę, bo są to, o ile pamiętam, młode bardzo „Krainianki".

Projekt Pana zjazdu „Krainiaków" do Żnina poddałam, jak Pan już zapewne zauważył, głosowaniu. Na razie mam kilka głosów za zjazdem, a przeciw zjazdowi żadnego. Zobaczymy, jak się ta sprawa rozwinie! Co do mnie, to z żywą przyjemnością powitałabym Was Wszystkich, Moi „Krainiacy", w redakcji i oprowadziłabym po naszych na wskroś nowoczesnych zakładach, a Wujek Janusz dzielnie by mi w tym sekundował.

Pseudonimu Pana nie zmieniam, bo mam już pseudonim „Samotny" — jeżeli zechce Pan koniecznie obrać sobie inny, to proszę mi donieść, ale zaznaczam, że to nie przeszkadza, iż nie mieszka Pan już w Chorzowie — pseudonim jest pseudonimem i niekoniecznie musi być oparty na logicznych przesłankach. (Może, ale nie musi!) Ponadto warto wziąć pod uwagę, iż częsta zmiana pseudonimów wprowadza dezorientację i chaos w naszą „Krainę".

To byłoby mniej więcej wszystko! A teraz pozdrawiam Pana serdecznie i zamieszczam Jego apel:

„Halo! „Sława", „Wesoła Ślązaczka", Zofia Jak. z Chojnic — dajcie Panie, proszę, znak jakiś i nadmieńcie powód milczenia oraz zwróćcie fotografie!

Całą „Rodzinkę" pozdrawiam i proszę o pamięć!"

RACZEJ...

„Krakowianka". Jak dziwnie zaczyna Pani ten list, nadesłany mi już dość dawno, tłumaczysz mi mianowicie i usprawiedliwiasz się z tego, że piszesz ten list do mnie i podajesz przyczynę. Moja Droga — raczej za nieusprawiedliwioną uważać Cię byłabym skłonna, gdybyś nie pisała do mnie wcale. Przecież po to wtępujecie do „Krainy", aby z nią współżyć przez komunikaty, a nie tylko przez listy prywatne. I wiedzieć Wam to należy, że macie pełne prawo, a poniekąd nawet obowiązek odzywać się od czasu do czasu na łamach naszej „Krainy". Ona jest dla Was i przez Was — więc dbajcie o nią!

Nic nie szkodzi, że zmilczałaś Pani pocztówkę tego Pana — nikt nie ma obowiązku odpowiadać na to, co mu jest obojętne lub nawet niemiłe.

Natomiast zadowolona jestem z jednego, a to z tego, że spokojnie patrzysz przed siebie. Niech tak zawsze będzie!

Posyłam Ci serdeczny uścisk dłoni i przedrukowuję Twoje komunikaty:

„Zrównoważony Jasiu". Jadąc przez Ostrów do Krakowa myślałam o Panu. Miłe pozdrawiam. Dużo radości życzę „Jasnemu Felkowi", „Młodemu Orłowi", „Hordowi", „Księżniczce Linie", „Brazylianinowi" oraz całej naszej „Rodzince".

REKLAMOWANO

„Wytworny Włóczęga". Poruczoną mi przez Pana sprawę zleciłam naszej administracji — przypuszczam, że otrzymał już Pan brakujące numery. I na przyszłość — mam tę wiarę — będą „Moje Pow." dochodziły już b. regularnie. Administracja zrobiła reklamację w urzędzie pocztowym, który doręcza Panu pocztę.

Życzę Panu dużo wrażeń, bo pewnie niedługo zaczniesz wprowadzać w czyn wskazanie swego pseudonimu, to znaczy rozpoczniesz letnią włóczęgę.

„Halo! „Wesoły Łobuzie spod Działdowa" przesyłam pozdrowienia! Co do fotek, to proszę trochę poczekać. Proszę też przesłać pozdrowienia dla kogoś smutnego.

„Smutna Czarnulko". Myślę, że się Pani nie omyliła w swych domysłach. Przesyłam ukłony!

„Dumce", „Stefci" „S.... S.... z T." i licznym „Krainiakom" ślę pozdrowienia!"

CZEKAM NIECIERPLIWIE!

„Aloha". Niecierpliwie czekam na wiadomość o Twoim zdrowiu, Kochanie! Obiecałaś mi, że w przeciągu miesiąca postarasz się wyzdrowieć — czy udało ci się to?

Tak dziwnie piszesz, Kochana Moja, Twoje krótkie dzieje zdają się być wręcz nieprawdopodobne. Dałby to Bóg Najwyższy, aby wraz z nowymi siłami wrócił Ci spokój, a zginął na zawsze ten szczególny jakiś pech, który prześladował Cię dotąd tak okrutnie! Może rzeczywiście ta próba woli, którą tak zwycięsko przeprowadziłaś w czasie choroby, zmieni koleje Twego losu na przyszłość. Szczerze Ci tego życzę.

Fotografię zwróciłam Ci przed kilkoma dniami. Otrzymałaś ją, sądzę. Widać z fotografii, że jesteś przystojną dziewczynką, ale nic wybitnie nie wskazuje na to, że mogłyby być usprawiedliwione, choćby na pozór tylko, zakusy postronnych na Twój spokój. Zresztą nie myśl o tym, myśl raczej, jakby zdobyć znowu równowagę duchową, popartą nienagannym zdrowiem i czyń wszystko w tym kierunku.

Wiem, że jesteś dzielna i że nie pozwolisz się zgnębić przeciwnościom, choćby po staremu miały Cię prześladować! Lecz tak nie będzie!

Całuję Cię i zamieszczam komunikaty:

„Henry" — moc pozdrowień od znajomej.

„Dyktator" — z pewnych względów korespondować z Panem nie mogę. Proszę przyjąć uścisk dłoni.

„Ulino, Ukialo i Imgro" — dlaczego się nie odezwiecie?

„Latorośl Kaszubska" — ktoś dziękuję za pamięć.

KOMUNIKATY, KOMUNIKATY!...

„Waldemira". Powiedz mi, czy Twój żal do nas, że mało się zajmujemy Twoją drobną osóbką, już zmalał? O ile wiem, to w b. r. miałaś sporo listów — prawda, że tak było? To dobrze! Odpisuj też pilnie i wdzięcznym sercem przyjmuj ofiarowywaną sobie przyjaźń. Nie zapominaj też poinformować mnie od czasu do czasu o swoich losach.

Dużo przyjaznych zasyłam Ci życzeń!

„Bajkał" moc buziaków i uścisków!

„Róża Południa". Czy Pani, „Irka M. i „Rozśpiewana Izabella" jest jedną i tą samą osobą, bo fotka umieszczona w „Kraince" (a raczej buzia) jest bardzo podobna do tej, którą widziałam u „Bajkału"!

„Smutna i brzydka Irka". Możeby Pani napisała do mnie, bo bardzo przypadł mi do serca Pani pseudonim, lecz brak mi odwagi żeby pierwsza napisać. Serdeczne pozdrowienia.

„Henry". Czy Pan jest tym słynnym „Fakirem"? W takim razie znam Pana, lecz tylko z fotki, którą widziałam u Steni z R., nazywa się Pan K..n! czy tak?

Dla wszystkich „Krainiaków" dobre słowa i uśmiechy!"

ZAPOMINAJĄ...

„Marlena" prosi „Krainiaków" o pamięć i listy, bo jakoś zapominają o niej.

Bardzo niecierpliwie będzie czekała na odzew z Waszej strony, a na razie pozdrawia całą „Rodzinkę" i zasyła jej przyjacielskie uściski dłoni!

ZNAJDŹ SILNE ZAINTERESOWANIE!

„Lang — Cheng". Zadowolona jestem, że zrozumiałaś mnie i że wszystko okazało się takim, jak przypuszczałam i pewna jestem, iż zapomnisz z czasem i znajdziesz inne, niemniej dobre i pełne szczęście. Życzę Ci tego gorąco! Proszę też, abyś często dzieliła się ze mną myślami swymi, bo wierzę, że nieraz przyślużę Ci się trafną radą, płynącą z serca.

Koniecznie znajdź sobie jakieś silniejsze zainteresowanie i utop w nim resztki smutku. Zgoda?

W ostatnim swym liście zaznaczasz, że przy pierwszej nadarzającej się okazji odwiedzisz mnie w redakcji — doskonale, bardzo mi będzie przyjemnie poznać Cię bliżej i pogawędzić o wszystkim.

Dlaczego, Dziecino, mam się śmiać z Ciebie? Nie rozumiem tego! Nie mam zwyczaju wyśmiewania żadnej ludzkiej ułomności, a tym mniej dobroci i szczerości!

Naucz się wierzyć znowu ludziom, bo to jest koniecznie potrzebne dla Twego własnego dobrego samopoczucia.

Posyłam Ci ciepły uśmiech i troskliwe spojnie, które pragnie wyczytać jak najszybciej pogodny spokój w Twych oczach.

„Erosie". Ślę Ci serdeczne pozdrowienie — czemu tak długo nie piszesz?

„Mileczek B. 86685". Odwzajemniam pozdrowienie. Proszę do mnie napisać:

„Nitramie"! Pozdrowienia, może już od zapomnianej, proszę jeszcze pisać!

„Samotne dziewczę z Pomorza". Potrzeba mi przyjaciółki, napisz siostrzyczko pierwsza do mnie. Ślę słodkie „pa — pa!"

„Samotny Chorzów I" Zasyłam słowa otuchy, bo potrzeba mi ich również. Może napiszesz Pan do mnie?

„Wesoły Toruniaku" i „Wesoły Broneczku" przyjmijcie wiadomość, iż pragnęłabym z wami pogawędzić. Pozdrawiam!

Dla całej „Rodzinki" wszystkiego najlepszego!"

APEL „URANA"

„Uran". Oj, prześladzasz mi Pan, „Uranie i psujesz twoim uwielbieniem — tak nie trzeba! Z drugiej strony zdziwiona jestem, że są jeszcze ludzie tak pełni entuzjazmu, uczuć i romantyzmu! Przecież Ty, Chłopcze, mógłbyś ujść z powodzeniem za średniowiecznego trubadura tyle jest w Tobie sentymentu i śpiewającego — że się tak wyrażę — romantyzmu.

Pewnie, że nie zapomnę o Tobie — jesteś tak inny niż ogół „Krainiaków", że bez mej nawet specjalnej woli ku temu muszę Cię pamiętać i lubić! Polecam Cię też pamięci „Krainiaków", nie wątpiąc, iż otoczę Cię swą serdeczną opieką, a ponadto zamieszczam Twój do nich apel:

„Witam Was wszystkich serdecznie szczerym braterskim uśmiechem. Wstąpiłem w Wasze szeregi i odtąd pójdę z Wami ramię w ramię, by dzielić wspólnie troski i radość, smutek i wesele. Sądzę, że obdarzycie mnie zaufaniem i okażecie przychylność, tym bardziej, iż ja od dłuższego już czasu bardzo Was wszyst kich kocham. Szczere uznanie za prześliczne wierszyki zasyłam: p. Baranowskiemu, p. Płóciennikowi, p. Rawickiemu, „Białej Uajali", „Dzince", „Jadźce z Kujaw", „Blance", „Czarodziejce", oraz wszystkim, którzy miłe wierszyki w „Krainie" zamieszczają.

Panie Adamie Czekalski, jakże piękne są powieści i wierszyki Pana! Podziwiam je zawsze i kocham bardzo. Ilekroć ukażą się w „M. P.", z prawdziwą przyjemnością czytam je po parę nawet razy. Przyjmij więc Pan ode mnie słowa najwyższego uznania.

Na zakończenie pozdrawiam wszystkich raz jeszcze i proszę o pamięć!"

ŻYCZONE MODELE SĄ W BIEŻĄCYM NUMERZE

„Rusałka". Nie przypominam sobie już Ciebie, musiałaś dawno już nie pisać do „Krainy" — popraw się Maleńka!

Dobrze czynisz, że szukasz polskich koleżanek poza obrębem swej wsi, skoro w niej mieszkają sami tylko Niemcy.

Życzenie Twoje, aby w „Raju kobiet" dać modele bielizny, uwzględniłam już w bieżącym numerze. Zawsze bowiem staram się Wam dogadzać. W nagrodę, zaraz w tej chwileczce prześlij mi miły uśmiech! O, ładnie to zrobiłaś!

At, nie wmawiałabyś mi tak gorliwie, że nudzisz mnie twoim listem — nudzą mnie tylko pretensjonalności, a nie dobre, proste słowa.

Ciekawe, kiedy mi przyślesz tę fotografię? Będę miała okazję stwierdzić, ile masz w sobie z tego pięknego pseudonimu.

„Halo, „Hindusko II" — dziękuję za specjalne słowa przyjaźni. Liścik skrobnę, ale podaj adres. I ja jestem młodą mieszkanką wsi i też mam długie warkocze. Mamy też jezioro, park. Wioska jest bogata i duża, bo aż 3 km się ciągnie. Tymczasem przyjm pozdrowienie i śliczne pa!

„Blondynie spod Grudziądza" — jestem panią bez matury, chciałabym z Panem koresopndować! Serdeczny uścisk dłoni.

Osobne pozdrowienia dla: „Faridy", „Sokoła" „Rudiego 280—360", „Młodego Marynarza z Żaglowca", „Dyktatora", „Samotnej Rusałki". Bardzo proszę o list któregoś Pana w mundurze wojskowym — tak bardzo lubię wojsko.

Serdeczne pozdrowienia dla „Rodzinki"!

CIĘŻKO MI!...

„Loreta". Dobrze, ale tylko ten jeden raz! Tak mi ciężko, tak ciężko, że Ty piszesz z takim smutkiem, z taką bezsilną rezygnacją. Mój Boże!...

Goryczy mam pełne usta i jest mi dziś drapieżnie źle, tu przy tym biurku i nad tym listem!

Niech Ci Bóg poszczęści, Kochana, i niech zmieni los Twój! Daję ten apel i posyłam Ci zmącony do głębi smutkiem uśmiech.

„...Tak mi naprawdę źle i smutno i strasznie tęskno — Życie moje zawsze było walką, a obecnie jest zmaganiem się z bezsilnością. Podajcie mi ręce — wprowadźcie w krainę uśmiechów i serdeczności. Napiszcie do mnie! Niewdzięcznicą nie zostanę. Muszę jednak zaznaczyć, że przestałam już liczyć lata na wiosny i dlatego specjalnie gorąco proszę o listy poważniejsze, starsze Sympatyczki i Sympatyków. Od 26-ciu lat wzwyż, najchętniej ze sfer nauczycielskich.

Czekam zatem na pierwsze serdeczne słowo, na pierwszy ciepły uśmiech, zapewniając, że żadnego listu nie zostawię bez odpowiedzi!

KRESKA W RUBRYCE „ZGADZA SIĘ"

„Smutna i brzydka Irka". Naturalnie, że można przysyłać mi „wagony całusów" — bardzo chętnie je przyjmuję i usypuję z nich sobie całe Tatry wzruszonego szczęścia. I kocham Was za te wzruszenia i te mniejsze i większe doznania szczęścia, jakich mi przysparzacie hojnie!

Jeżeli chcesz jeszcze otrzymać książkę kucharską, to musisz przesłać półroczną prenumeratę z góry i 50 gr na przesyłkę.

Adres Twój otrzymałam oczywiście — dziękuję!

Oj, Ty Smyku wesoły! Zaśmiewam się często z Twoich bajecznych powiedzonek i tych dowcipów, co wyrywają Ci się spod pióra z wiedzą i bez wiedzy! Koleżanki mają z Ciebie pociechę — sądzę — zarówno w dni słoneczne, jak słotne.

Nie wiem, czy się nie mylisz — bo widzisz (muszę się przyznać z zażenowaniem) ja często właśnie daję vet za vet i mocno, mocno jestem wygadaną! Właśnie i mnie także często język „jakoś dziwnie, bardzo dziwnie... (aż się zastanawiam, co to może być) swędzi i nim się spostrzegę i zmityguję, już jakieś nieopatrzne słowo mi się wyrwie"!... Słowem mamy tę cechę wspólną. Lubię też, jak Ty, śmiać się beztrosko, gdy jest z czego i mocno sobie cenię lekki, błyskotliwy dowcip.

Więc ostatecznie godzisz się na Wasz zjazd w Żninie i dajesz kreskę w rubryce „zgadza się" — to pięknie! Zaczynam powoli entuzjazmować się tym projektem, a zgodziłam się nań już dawno. Oby więc zrealizował się szybko!!

„Serce p. Zosi" wreszcie wzruszyło się i aby się nie narazić na zarzut, że zaraziło się twardością jajek wielkanocnych, rozkazało palcom skreślić wszystkie powyższe i poniższe zdania odpowiedzi dla Irki. I... cha, cha, cha! ponieważ zależy mu ogromnie na pochlebnym zdaniu Irusi, gwałtownie zleca zapewnić, że jego właścicielka, w myśl troskliwej rady — nie przejadła się święconką! Czy Pani od dobrych rad: „Smutna i wcale nie brzydka Irusia" jest zadowolona? Spodziewam się!

A na zakończenie całuję roześmianą buzię Irusi i przekazuję komunikaty:

„Gwiazdeczka". Za całusy (czuję, że słodkie) bardzo dziękuję i wzamian ściskam tak mocno, że „Gwiazdeczka" zamiast złota, będzie czerwona. O ile mogę, to poproszę bardzo o list, a odpowiedź będzie natychmiast, gdzie wytłumaczę, dlaczego jestem „Smutną i brzydką". Adres mój w redakcji, w książce Pani Zosi.

„Wesoła Tuśka spod Grudziądza". Powodzenia w połowaniach! Wkrótce list.

Specjalne serdeczności dla „Blanki"!

Teczka Wujka Janusza

DZIĘKUJĘ!

„Przedwiośnie". Za miłą pamięć — bardzo Pani dziękuję!

PRZYJACIELE

Moim ulubionym autorom „Krainy", p. p.: Adamowi Czekalskiemu, Janowi Feliksowi Płóciennikowi, Józefowi Barańskiemu, Tadeuszowi Rawickiemu, oraz „Te - Emowi".

Autor.

Moi nieznani, drodzy Przyjaciele!
Ten skromny wierszyk Wam dzisiaj poświęcę!
Miast słów uznania za wiersze, nowele,
Pragnę serdecznie uścisnąć Wam ręce!

Wy, autorzy kochanej „Krainy",
Poeci młodzi, zdolni, z „bożej łaski",
Piszecie w wolnych od zajęć godzinach,
Wszak znacie życie i cienie i blaski...

Wy dobrze wiecie, czym jest przywiązanie
Do starej matki, czym są łzy, cierpienia
I czym jest wielka miłość i kochanie...
Wasze utwory — to Wasze zwierzenia...

Lecz, czy choć czasem o tym pomyślicie,
Gdy przyjdą chwile smutne i wolne:
Czy i my wcześnie pożegnamy życie,
Jak „Stella Maris", dziewczę młode, zdolne?

Kto wie?... Dziś Ona, a jutro gazeta
Może nam przynieść wiadomość szaloną,
Że ten, lub tamten z „Krainy" poeta —
Pożegnał nasze miłe, liczne grono...

Gdy odprowadzi go bliska rodzina
Na miejsce ciszy, co zwiemy cmentarzem,
My jego wiersze będziemy wspominać
I wielki smutek pokryje nam twarze...

Mieczysław Grzegorski.

PRZYPUSZCZAM...

P. H. J. Rożdżały. Czy wróciła już Pani z Łodzi? Przypuszczam, że tak i na nowo podjęła się Pani pracy hafciarskiej, no i twórczej. Czekam na wiadomości od Pani i na zakończenie komunikuję, że ostatnio nadesłane wierszyki Pani nie poszły do druku, gdyż posiadały szereg niedociągnięć. Łączę dużo miłych pozdrowień!

SPRAWA PLAGIATU JESZCZE NIESKOŃCZONA

„Blanka". Sprawa popełnionego plagiatu jeszcze nie jest skończona, Droga „Blanko", gdyż Sympatycy mej „Teczki" usilnie domagają się surowego napiętnowania plagiatorki i poza tym proszą o wymienienie pseudonimu. O ile głosów tych będzie więcej, w najbliższych numerach powrócę jeszcze raz do przykrej dla mnie sprawy.

A teraz kilka słów na temat nadesłanego wierszyka. Otóż jest on i miły i gładki, jednakże posiada fatalne zakończenie.

Hej, dajcież mi wina, niech pryśnie mój żal,
Zapomnieć chcę szczęście, co poszło hen w dal,
Niech czardasz przypomni mi Ciebie w tę noc,
Więc żywo, cyganie, zagraj mi pieśni moc!...

Drugi wiersz powyższej zwrotki zaprzecza trzeciemu wierszowi, a więc tę niedokładność musi Pani poprawić, abym mógł cały utwór ze spokojnym sumieniem przedrukować. Myślę, że to nie sprawi Pani wielkiej trudności i już wkrótce ujrzymy wiersz Pani — „Hej, cyganie" — na łamach „Teczki".

Pozdrawiam Panią i nie zapominam przekazać w imieniu Pani całusów pewnej dobrej i pogodnej dziewczynce — „Barci". Proszę Ją również, aby napisała do Pani.

WIERSZ DLA PRZYJACIÓŁ

P. M. G. Sosnowiec. Wiersze Pana odłożyłem do teczki. Szczególnie przypadł mi do gustu, a nawet wzruszył głęboko, wiersz „Przyjaciele". Zamieszczam go zaraz za komunikatami Pana i pewny jestem, że wywrze on na sympatykach mej „Teczki" również głębokie wrażenie. Pozdrawiam Pana i uprzejmie dziękuję za ładne zdjęcie.

„P. Helena Karge! („Leńka" z Gdańska.) Co u Pani słychać? Często myślę o Niej i wspominam dawne czasy. A Pani? Proszę napisać do mnie, lub podać swój adres. Mój adres — zawsze ten sam. Pozdrawiam i całuję „łapki"!

„Złote Słoneczko"! Czy wie Pani, że mija rocznica naszego poznania w Sosnowcu?... Słodkie pa!

„Wieszczko kwiatów"! Dziękuję za pamięć, uznanie dla moich wierszy i miłe słowa! Na razie b. mile pozdrawiam!

Halo! „Marzenko z Ameryki"! Twój ostatni apel b. mnie zainteresował i chciałbym z Tobą pogawędzić listownie! Napisz do mnie i podaj adres, a otrzymasz piękną „fotkę"! Oto mój adres: Sosnowiec, ulica Warszawska 10 m. 30. Mieczysław Grzegorski. Pozdrawiam!

P. Adam Czekalski! Zasyłam Panu wyrazy szczerego uznania dla Jego bogatej twórczości poetyckiej! Czy nie zechciałby Pan zamienić ze mną fotografij? Bardzo o to proszę! Ściskam dłoń!

P. P. J. Baranowskiemu, J. F. Płóciennikowi i Tad. Rawickiemu, życzę ciekawych tematów i ślę przyjacielskie pozdrowienia!

P. „Te - Em"! Co słychać u Pana? B. przepraszam za milczenie i dziękuję za „fotkę"! Ściskam prawicę!"

NIE MA SZCZĘŚCIA...

Nie ma szczęścia,
Nie ma szczęścia.
Czy odeszło?
Czy choć było?
Nie ma szczęścia —
Późno wzeszło,
Już się skryło.
Nie ma szczęścia,
Nie ma szczęścia.
Na tym świecie,
Na tej ziemi.
Nie ma szczęścia —
Było przecie
W progu sieni.
Nie ma szczęścia,
Nie ma szczęścia.
Oj, jak smutno!
Oj, jak głucho!
Nie ma szczęścia
Było lutnią,
Jam jej słuchał.
Nie ma szczęścia,
Nie ma szczęścia.
Czy odeszło?
Czy choć było?
Nie ma szczęścia —
Późno wzeszło,
Już się skryło.

Tadeusz Rawicki.

Raj kobiet

Szpieg nr. 145 — japońska Mata Hari

Obecną wojnę na Dalekim Wschodzie, wojnę toczoną przez dwa żółte narody poprzedziła na szeroką skalę zakrojona akcja szpiegowska Japonii na terenie Chin.

Japonia posiadała zorganizowany sztab szpiegowski, posiadający do dyspozycji najbardziej nowoczesne środki celem uzyskania potrzebnych informacyj o sile zbrojnej i planach Chin. Całą akcją szpiegowską Japonii kierował wytrawny w tej dziedzinie gen. Doichara, posiadający na usługach swoich szereg urodziwych Japonek, które kuszącymi spojrzeniami skośnych oczu, czarownym uśmiechem, od najbardziej surowych chińskich rycerzy wydobywały wojskowe tajemnice. Do jednej z najbardziej słynnych japońskich wywiadowczyń należy dawna nauczycielka Josziko Hawaki, córka niższego urzędnika państwowego.

Początkowo poświęciła się ona karierze pedagogicznej i nie przypuszczała nawet, że przyjdzie jej porzucić ją dla bardziej burzliwego i pełnego przygód życia.

Pewnego dnia brat jej odbywający służbę w japońskim wojsku, wysłany został z ekspedycją karną do Chin i tam w czasie jednej z potyczek został zabity. Wiadomość ta — wstrząsnęła do głębi skromną nauczycielką. Poprzysięgła ona zemstę Chinom i postanowiła pomścić śmierć swego ukochanego brata.

Tymczasem niespodziewanie ugodził w nią nowy tragiczny cios. Jej narzeczony, młodziutki oficer japoński, rozpoczynający dopiero swą wojskową karierę został zamordowany przez Chińczyków. W tym czasie przypadek zetknął Josziko z szefem japońskiego wywiadu. To zadecydowało o nowych losach nauczycielki. Porzuciła karierę pedagogiczną i oddała się całym sercem na usługi japońskiego wywiadu.

Nauczycielka Josziko z polecenia sztabu japońskiego wyjechała do Chin Północnych. Niezwykłej urody, pełna sprytu, przebiegłości i zręczności, udając tancerkę kabaretową, to znowu artystkę, lub śpiewaczkę potrafiła się zbliżyć do wyższych oficerów chińskich w okręgu Pekinu. Sztab japoński polecił nowej wywiadowczyni zarejestrowanej w sztabie pod nr. „145“. ustalenie stosunku generałów operujących na północy i południu Chin do najgroźniejszego człowieka dla Japonii marszałka Czang - Kai - Szeka.

Josziko zdobyła rewelacyjne materiały i wykradła plan operacyj chińskich. W międzyczasie wywiadowczyni porzuciła jeden ze swych licznych zawodów i podając się za nauczycielkę geografii, poczęła sporządzać plany okolic Pekinu, które miały być przeznaczone dla artylerii japońskiej. Lecz tu powinęła się noga eks-nauczycielce. Władze chińskie aresztowały ją pod zarzutem szpiegostwa. Osadzono ją w więzieniu i skazano na śmierć. W chwili, gdy Josziko prowadzono do egzekucji, ta mając jedynie związane ręce skoczyła na mur, oddzielający dziedziniec od rzeki i zniknęła w nurtach wody.

Napróżno władze chińskie szukały groźnego szpiega. Potrafiła ona doskonale pływać ze związanymi rękoma. Przedarła się ona przez kordon ścigających ją oddziałów, dotarła do wojsk japońskich i dziś pracuje w dalszym ciągu na rzecz japońskiego wywiadu.

Umarł zdobywca serc niewieścich

Gabriel D'Annunzio, słynny poeta i powieściopisarz ekscentryczny Włoch oraz żołnierz i zdobywca miasta Fiume, umarł 1-go marca w swej willi u podnóża Alp, a na brzegu jeziora Garda, z powodu przekrwienia mózgu.

Śmierć przyszła niespodziewanie, gdy D'Annunzio udał się do łóżka. Na godzinę przed śmiercią omawiał jeszcze z architektem plany wzniesienia klasycznego amfiteatru na gruntach swego zamku, gdzie miano grać jego tragedię w sposób starożytny.

Na wieść o śmierci D'Annuzia wielkiego poety-żołnierza, premier Mussolini wydał rozkaz ogólnej żałoby krajowej i udał się do Gardone, by wziąć udział w pogrzebie D'Annunia.

Mussolini i D'Annunzio byli bliskimi przyjaciółmi. Wszak idea czarnych koszul zrodziła się u D'Annunzia, gdy po wojnie zajął on wbrew aliantom i nawet wbrew woli rządu włoskiego port austriacki Fiume, który miała otrzymać Jugosławia. Wtedy to zrodził się faszystowski dziś okrzyk: „Aja, Aja, Alala“, z którym Mussolini ruszył na Rzym, podpatrzywszy i przyjąwszy wiele z idei Gabriela D'Annunzia.

Znane są dobrze światu wyczyny wojenne D'Annunzia, który już syt wówczas sławy jako poeta i powieściopisarz egzotycznych romansów oraz arcymistrz miłości wstąpił na ochotnika do lotnictwa włoskiego po wybuchu wojny.

Krótko po zawarciu zawieszenia broni zorganizował D'Annunzio wyprawę z młodych ludzi na Fiume, port dawniej austriackiego nad Adriatykiem i zajął go na czele tej gromady „czarno - koszulowców“. Utrzymał on Fiume, aż do Bożego Narodzenia w 1920 roku, kiedy to włoskie okręty wojenne zaczęły bombardować ten port, i pałac gubernatora, gdzie mieszkał i rządził D'Annunzio.

D'Annunzio dowiedziawszy się, że Włochy Fiume Jugosławii nie oddają, wycofał się z miasta. Mussolini z wdzięczności mianował go członkiem Wielkiej Rady faszystów, a ostatnio prezesem Królewskiej Akademii Umiejętności po śmierci Marconiego. D'Annunzio liczył przy skonie 74 lat.

Bal u „króla żebraków“

Królem żebraków otwockich jest właściciel hotelu żebrackiego na krańcu Otwocka, niej. Awrus. Żebracy przyjeżdżający do Otwocka na różnego rodzaju ceremonie i sezonowe żniwo nie mogą zajmować posterunków bez zgody Awrusa. On jest dyktatorem i strategiem, on osacza siecią żebraczą wszystkie dzielnice i ulice Otwocka — jako doświadczony „spec“ cieszy się bezwzględnym posłuchem swoich podwładnych. W związku z zeszłorocznym złotem żebraków do Otwocka „król Awruś“ postanowił odbyć ceremonię przekazania miejscowej synagodze zapisanych przez siebie dolarów. Wzięło w tym udział około 800 żebraków, w tym kilkudziesięciu utworzyło wartę honorową, przybraną w różnorodne stroje, nie wyłączając strojów kozackich. Wszystko odbywało się z wielką pompą i napuszoną powagą. Po wręczeniu daru królewskiego, żebracy mieli urządzoną ucztę, która przeciągnęła się całą noc. Statystycy z Otwocka wyliczyli, że goście przez tę noc skonsumowali, m. in. kilkaset gęsi i indyków, 40 antałków piwa, dużo „pejsachówki“ i wiele innych przysmaków, nie wyłączając doborowych owoców palestyńskich.

Świat i życie

Plemię mongolkie w Wileńszczyźnie

Niedawna podróż do pozaeuropejskich osiedli swych Rodaków Seraja Ben Szapszała, głowy wyznania karaimskiego z Trok, o której donosiły pisma polskie, zwróciła uwagę na to



V 37711 Pasek do podwiązek z dobrego, m nego materiału, połączony z gumą, bardzo praktyc

W 1252 Mały komplecik z jedwabiu lub tryk bieliźnianego w kolorze różowym lub niebieskim.

W 36773 Halka z dużym dekoltem na plec do sukni wieczorowej.

B 64105 Praktyczny i ciepły kaftanik, przybr stebnowaniem, wiązany z boku.

W 64144 Ładna kombinacja z batystu lub wabnego płócienka, ozdobiona haftem płaskim.

dziwne plemię mongolsko-semickie, osiadłe pod Wilnem, gdzie w Trokach znajduje się ich główny ośrodek.

Poza tym są jeszcze w Polsce skupienia karaimskie w okolicach Łucka na Wołyniu i koło Lwowa. Mimo wielowiekowego pobytu na ziemiach polskich, zachowali swą odrębność rasową, ponieważ żenią się tylko między sobą i nie łączą się z narodem rdzennym.

Według podania, na ziemie polskie sprowadził karaimów wielki książę litewski Witold, który wziął ich wielu do niewoli podczas swych wojen z Tatarami. Jeńcy karaimscy wykazali się wielką znajomością ogrodnictwa, podówczas nieznanego na Kresach, więc książę dawnych wojowników osiedlił w swej stolicy w Trokach, gdzie obdzielił ich ziemią. Potomkowie ich do dziś dnia uprawiają sztukę ogrodniczą, czego dowodem są słynne na całą Polskę ogórki trockie.

Zamieszkują oni całą dzielnicę Trok, złożoną z niziutkich dworków. Mimo pokojowego zajęcia tradycje rycerskie pozostały im we krwi, gdyż te niziutkie dworki dały wielu wybitnych wojskowych polskich.

Karaimi bardzo różnią się od otoczenia. Mimo wybitnie semickich rysów nie mają w sobie nic z nieprzyjemnego charakteru Żydów, natomiast często można w ich twarzach zaobserwować rysy mongolskie. Alfabet karaimski z wyglądu znaków jest zbliżony do arabskiego. Język również mało przypomina hebrajszczyznę. Opierają swą wiarę na Starym Testamencie, lecz nie uznają talmudu.

Od mahometańskich Tatarów, wśród których żyli, przejęli trochę wierzeń z Koranu i uważają Mahometa za jednego z proroków. Jak mahometanie, świętują w piątek; wieprzowina i wino są dozwolone, nie uznają rozwodów. Miłość bliźniego jest jedną z podstaw ich religii. Mają dwie świątynie — kienesy; w Wilnie na Zwierzyńcu i w Trokach. Obie są skromne, pozbawione wszelkich ozdób, zrabowanych w czasie wielkiej wojny. Wnętrze ich jest podobne do muzułmańskich meczetów.

Jak w meczecie, trzeba wchodząc zmieniać obuwie. W kienesie trockiej wisi wieniec dożynkowy starym zwyczajem karaimskim, który nakazuje ofiarować w świątyni symbol plonów rolniczych i ogrodniczych.

Pomiędzy kłosami zbóż widać misternie zrobione z ziarenek ogórka kwiatki.

Duchowny karaimski nosi przystrzyżoną brodę i strój, zbliżony do ubrania pastorów; nazywa się chazan. Musi on być żonaty i jest przeważnie człowiekiem z wyższym wykształceniem.

Karaimi na ziemiach polskich nigdy nie byli liczni. Posiadany przez nich spis z wieku XVIII określa ich liczbę na 4000. Obecnie mają oni w Polsce cztery gminy wyznaniowe: trocką, wileńską, halicką i łucką. Prawie wszyscy posiadają szlachectwo, nadane przez królów polskich i z pietyzmem przechowują dawne przywileje i dyplomy. Ciekawym obyczajem jest tradycyjny zakaz pozbywania się ziemi, która przechodzi z ojca na syna.

Dziwne plemię, jedno z tych, które zawieruchy wojenne, jak burze morskie na brzegu, pozostawiły na ziemiach polskich.

Długość życia ludzkiego

Uczony lioński Auguste Lumiére wygłosił ciekawy odczyt na temat długowieczności. Otóż średnia życia człowieka w okresie Cesarstwa Rzymskiego nie przekraczała 18 lat, co potwierdzają ryte napisy na płytach grobowców z tej epoki. We Francji w roku 1737 liczba ta wahała się pomiędzy 28 a 29 rokiem życia. W 1789 podniosła się do 32 lat. W 1800 i 1825 dosięgnęła liczby 32. W 1850 — 40 lat, a w 1911 roku ludzie żyli przeciętnie 46 lat. Obecnie w Europie przeciętnie liczba ta wynosi 50. Wyraźny wzrost lat życia ludzkiego zawdzięczamy niewątpliwie postępom higieny, która potrafiła skutecznie zwalczać wszelkie epidemie, które są plagami, nękającymi ludność od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej.

Odkryto mamuta w Jugosławii

Podczas robót regulacyjnych przy potoku Newljice w gminie Kamnik znaleźli robotnicy w twardej warstwie gliny przedmiot, który na pierwszy rzut oka przypominał kłodę drzewa. Robotnik kilkakrotnie uderzył w przeszkodę i poważnie ją uszkodził.

Przypadkowo przy pracy był burmistrz m. Nowak, który od razu stwierdził, że nie chodzi o drzewo, ale o ogromną kość. Natychmiast zawiadomiono znanego historyka i archeologa Sadnikara ,który ku niemałemu zdumieniu obecnych stwierdził, że chodzi o resztki mamuta. Na miejsce przybył również preparator muzeum narodowego w Lublanie, znany zoolog Herfort, który potwierdził przypuszczenia Sadnikara. Nie ulega wątpliwości, że kość była częścią szkieletu olbrzymiego mamuta.

Powszechnie wiadomo, że w czasach przedhistorycznych morze sięgało aż do Nevlji. Mamut prawdopodobnie ugrzązł w błocie a następnie spadał coraz to głębiej, aż ostatecznie uległ uduszeniu. W glinie, nie przepuszczającej ani wody ani powietrza ciało mamuta zostało zakonserwowane. Oblicza się, że szkielet leżał w ziemi około 30.000 lat.

J. ROLICZ

Spotkanie

Na obszernym tarasie sanatorium wiało jeszcze pustką wczesnej rannej godziny. Słońce ledwo podniosło się nieco w górę, a już zalało potokami złoto - różowego światła pobliskie wzgórza, rozganiając resztki nocnych mgieł, które w strzępach opadały kryjąc się w załamaniach skał. Oszklone drzwi skrzypnęły nieco i na taras wyszedł młody jeszcze mężczyzna o-kryty pledem. Był nadmiernie szczupły i wskutek tej chudości może, i tak już dość wydatne rysy twarzy, rysowały się zbyt ostrymi liniami. Ciemne podłużne oczy patrzyły spokojnie i życzliwie. Ogarniały w tej chwili z zachwytem rozpościerający się piękny krajobraz, strojny świeżością poranka i jaskrawemi plamami słońca. Mężczyzna wchłaniał z rozkoszą rzeźkie powietrze. Po długim pobycie w Afryce stęskniony był do kraju i ojczystej flory. Przyjechał tutaj dopiero wczoraj. Po ciężkiej grypie z płucnymi komplikacjami, która go powitała zaraz po powrocie do kraju, z trudem przyszedł do zdrowia. Chodziło teraz o dłuższy wypoczynek, który właściwie należał mu się już dawno po przebytej w dalekich krajach febrze i ciężkiej, absorbującej pracy wśród warunków często nie odpowiadających jego słabemu zdrowiu.

Postanowił jednak chorobie się nie poddawać i w przeciągu dwóch miesięcy nabrać duży zasób sił do pracy, by na jesieni objąć zaofiarowaną mu katedrę na uniwersytecie.

Po siedmiu latach pobytu na dalekim południu, gdzie przebywał jako członek ekspedycji zorganizowanej przez słynnego uczonego geologa, powrócił wreszcie wsławiony zdolnościami i wydaną książką w zakresie swej pracy. Wracał do kraju z radością dziecka, które garnie się do łona matki. Siedem lat temu wyjeżdżał ze złamanym sercem. Wtedy to od kompletnego załamania się duchowego uratował go właśnie wyjazd do Afryki i praca tam na szerokich przestrzeniach pochłaniających każdą myśl prawie. Nauce w ofierze złożył swe pierwsze sny o kobiecie, która stała się jedynym przykrym dysonansem w jego życiu. Nie zapomniał jej nigdy i w uporczywej walce wewnętrznej umiał się wznieść w swym żalu i zazdrości na wyżyny szlachetnej wyrozumiałości. Odkąd wyjechał z kraju nic o niej nie wiedział, a teraz nie spotkał jeszcze nikogo z dawnych wspólnych znajomych. Chciałby wiedzieć, jak się ułożyło jej życie.

Rozmyślania profesora przerwał ruch jaki się zaczął w tej chwili na tarasie. Wszyscy już prawie byli na nogach, a jeszcze raz wraz ktoś wchodził i konstatował z zadowoleniem, że jest pogoda. Ludzie witali się z sobą rozmawiając o wycieczkach, leczeniu, słońcu i opalaniu się. Sprawy te były jednakowo aktualne każdego dnia i dla każdego kwestia pogody wydawała się najważniejszą ze wszystkich.

Pogoda dopisywała stale, stwarzając nastrój radosny w atmosferze sanatorium. Ta zbieranina ludzi z różnych zakątków kraju, uwielbiała przede wszystkim słońce. Nie mieli go nigdy dość, było dla nich bóstwem, objawieniem, poprostu samym życiem. Wszyscy oni solidarnie kochali słońce i w nabożnym prawie skupieniu hołdowali mu, szukali go o każdej porze dnia, i żegnali, gdy zapadało za daleki horyzont, pełni zawsze wzruszenia i nadziei, że ukaże się nazajutrz.

Profesor poddał się ogólnemu nastrojowi radości i postanowił zaraz po śniadaniu wyruszyć na spacer. Przy stole w sali jadalnej sąsiadował z młodziutką panienką, z którą zawarł znajomość. Była tak maleńka i szczupła, że profesora zdjęła litość na widok jej nikłej postaci. Zauważył, że byłaby zupełnie ładną, gdyby nie ta jej żółtość cery i niedorozwinięte kształty. W myśli nazwał ją chudziątkiem i przy jedzeniu zaopiekował się nią podsuwając jej półmiski. Później, kiedy zeszli razem do parku, zaproponował jej wspólny spacer, na który zgodziła się z nieukrywaną radością. Z początku była onieśmielona trochę, w gruncie rzeczy jednak odczuwała zachwyt i wdzięczność dla swego towarzysza. Wkrótce też nabrała werwy i szczebiotała bez końca.

— Wie pan — mówiła do profesora kiedy znaleźli się wśród zielonego mroku starych drzew — że dziś śniły mi się takie cudne łabędzie pływające po przeczystej wodzie jak ze szkła, zaraz pomyślałam, że spotka mnie coś dobrego... i tak się stało...

— Można wiedzieć co panią spotkało...

— To właśnie pańska obecność... — odpowiedziała śmiało.

— Czyżby?

— No tak, bo nikt odkąd tu jestem nie zwrócił na mnie uwagi, a pan był tak uprzejmy, że nie skazał mnie dziś na samotny spacer... Cóż, właściwie moja cielesna powłoka swoim wyglądem może wzbudzać tylko litość... a wygląd tak wiele znaczy dla kobiety! Przez dziwny kaprys losu mam na imię — Barbara! Zdawałoby się, że to imię o twardym brzmieniu powinna nosić kobieta rosła, dorodna i dzielna, a ja przecież z tym wszystkim nic nie mam wspólnego...

— Co też pani mówi — odezwał się profesor ubawiony wywodami panienki.

— Wie pan — mówiła dalej — całe moje nieszczęście — to jest niemożność przebywania na słońcu, choć uwielbiam go, ale mój organizm nie znosi jego promieni... A w jego promieniach, gdy się zamknie oczy, odczuwa się stopniowo ich przenikanie w głąb całej istoty rozkoszne stapianie się z nimi w słoneczną jedność... Los nawet i tego mi odmówił... Pozostaje mi, zawsze być samej w cieniu, bo każdy dąży do światła i ciepła... W moim organiźmie są podobno braki, na które niema rady, i tak — mogę żyć choć sto lat... Za to mój intelekt naładowany jest jak bateria elektryczna: myśli i kipi pragnieniami, które nigdy się nie spełnią... To jest przecież takie nieproporcjonalne do mojej marnej cielesnej powłoki, do moich sił... i to mnie zabija...

Profesor słuchał z zainteresowaniem zwierzeń panny Basi. To co mówiła było rzeczywiście smutne, lecz w tonie jej głosu i w drobnej twarzyczce — nie było smutku. Oczy miały wyraz kpiący, rysy nabrały życia, a jasne kudełki rozrzuciły się naokoło głowy złotawą aureolą.

Profesor ciągle był słuchaczem tylko, a panna Basia mówiła bez przerwy.

— Jest tu w sanatorium jedna pani, którą pan pewno pozna, ma sparaliżowane nogi, przeszła podobno jakąś wielką tragedię i pięć lat już przebywa w fotelu... Jest młoda jeszcze, piękna, uduchowiona — wszyscy ją uwielbiają. Myślę sobie, że w porównaniu ze mną naprzykład — ona jest szczęśliwszą...

— Co też pani mówi...

— A tak, ona musiała wiele przeżyć: napewno kochała i musiała być kochaną, walczyła, może grzeszyła — wszystko jedno... ale żyła. Kiedy ją sparaliżowało, musiała cierpieć bardzo i może dopiero później pogrążyła się w ten stan rezygnacji i stała się taką poprostu anielską. A ja... cóż ja — pozostanę w życiu na zawsze już tylko widzem i nawlekać będę jak paciorki swoje szare, jednakowe dni...

— Bez względu na to, co pani życie przyniesie, trzeba być mężną...

— Pan jest dobry, ja to czuję, naprawdę dobry i dlatego tak wiele panu powiedziałam o sobie. O, niech pan tylko nie myśli, że ta moja szczerość, to może rodzaj kokieterii... Zresztą, kto wie, czy mając wszelkie warunki do podobania się mężczyźnie, potrafiłabym wobec niego zdobyć się na szczerość w ogóle... taka już jest natura kobiety...

Dokończenie nastąpi.

nej strony, straciłby on do niej całe swe zaufanie! Temu zaś pani Willemer chciała koniecznie zapobiec.

— Czy mam panu powiedzieć, kto jest właściwie tą osobą, której pan taką namacalną nagrodę obiecał? — zapytała z uśmiechem.

— Kto był tak podłym? — zapytał Silas zirytowany.

— Nie był to mężczyzna, tylko kobieta! — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Kobieta? — powtórzył Silas zdziwiony. — Któraż kobieta tak mnie nienawidzi, że z zemsty, nieprzyjaciół mych przede mną ostrzega?

— Myli się pan, panie doktorze — oświadczyła znów pani Willemer — nie jest to aktem zemsty. Przeciwnie, najlepsza, najwierniejsza przyjaciółka pana na ten czyn się odważyła. — Ja sama podałam to ogłoszenie.

— Pani? — zawołał doktor, patrząc ze zdziwieniem na piękną kobietę. — Właściwie, co za cel pani w tym miała?

— Chciałam tego tak zwanego Kohena tu zwabić — odparła znów spokojnie — bo różne drobne okoliczności wzbudziły we mnie przekonanie, że ten człowiek jest oszustem. Gdyby się mój plan był udał i gdyby się Kohen był zgłosił, byłabym go mogła zdemaskować. Byłabym go skonfrontowała z panną Herbert i oszustwo jego byłoby wyszło na jaw. Niestety, plan mój się nie udał, a moje życzenia, aby panu być użyteczną, spełzły na niczym.

Ostatnie słowa wypowiedziała tak smutnym tonem, że Silas popatrzył na nią zafrasowany.

— Czyżby go ta piękna kobieta miała kochać? — spytał sam siebie.

Był jednak tak mało próżny, że nie odpowiedział sobie twierdząco na to pytanie.

Pomyślał, że czyniła to li tylko z życzliwości dla niego, lecz ani na myśl mu nie przyszło, że mogły nią kierować tak samolubne, niskie pobudki.

— Dziękuję pani — rzekł, podając piękniej kobiecie serdecznie swą dłoń.

Wyciągnęła ku niemu swą białą rękę, spuszczając wstydliwie oczy. Zarumieniła się i cudnie wyglądała w tej chwili.

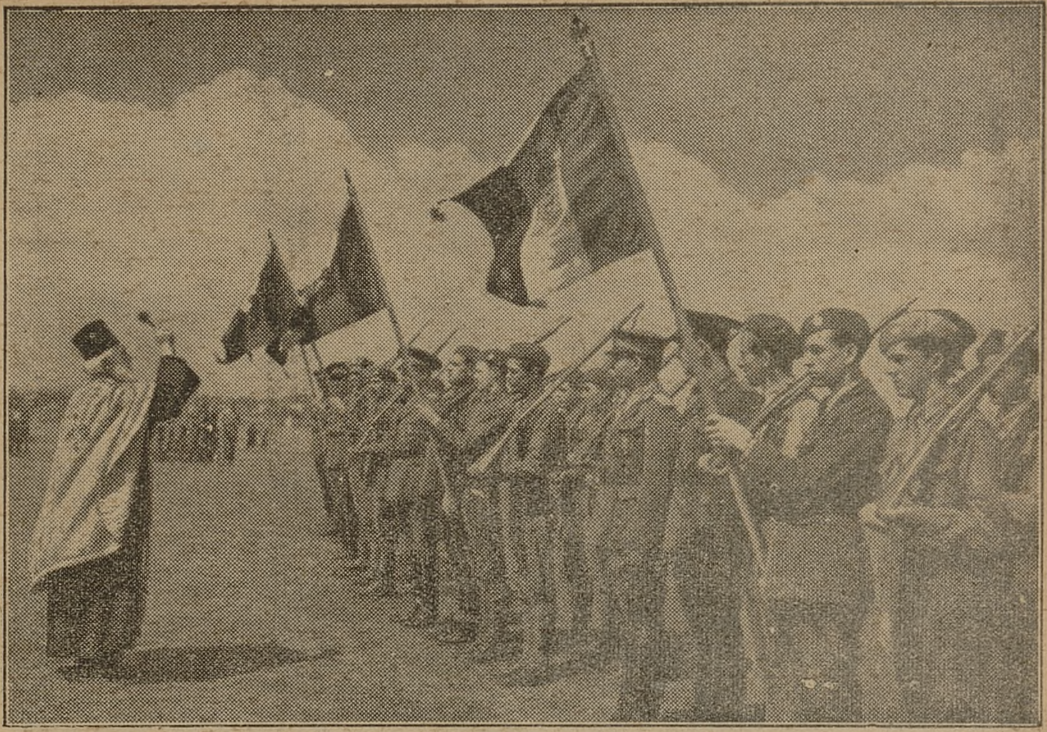
— Chciałabym, aby pan miał rzeczywiście powód do wdzięczności wobec mnie — szepnęła, pan jest moim jedynym przyjacielem na świecie!

Który mężczyzna mógłby się był oprzeć takiemu pochlebstwu pięknej i młodej kobiety?

I doktor Silas czuł się bardzo przyjemnie dotknięty słowami i tonem pani Willemer.

Przebiegła kobieta wyczuła to i tak ciągnęła dalej:

— Nie odważyłabym się nigdy na to, aby pana nudzić swoimi prywatnymi sprawami. Czy pozwoli pan, abym panu dziś w krótkości życie swe opowiedziała? Ojciec mój był lekarzem. Ja byłam jego jedynym dzieckiem, toteż kochał on mnie czule i wychowywał mnie bardzo starannie. Umarł niestety wcześnie, a matkę swoją straciłam jeszcze w najmłodszym dzieciństwie. Byłam więc sierotą, a na nieszczęście zostawił mi ojciec znaczny majątek. Miałam wielu konkurentów, nie z miłości dla mnie, ale dla mego majątku. Byłam dość rozsądną, aby się na tym poznać i odmawiałam stanowczo swej ręki. Niestety, nie byłam zawsze tak rozsądną i ostrożną. Poznałam młodego oficera, niejakiego pana Willemera, który mnie omamił swą powierzchownością i miłym usposobieniem i doprowadził do tego, że oddałam mu swą rękę. Człowiek ten trwonił mój majątek, maltretował mnie, zawinił coś w służbie i został zdegradowany...



W Bukareszcie odbyło się poświęcenie sztandarów organizacyj przysposobienia wojskowego młodzieży rumuńskiej.

Tu urwała i zdawało się jakby wewnętrzne wzruszenie głos jej zdusiło.

Silas uścisnął jej rękę z współczuciem.

Odpowiedziała na jego uścisk i zaczęła dalej opowiadać:

— Tyle od człowieka tego wycierpiałam, że wydawało mi się zbawieniem, gdym się jego wreszcie pozbyła. Może mnie pan będzie miał za osobę bez serca, że się panu do tego szczerze przyznaję, zamiast udawać żałobę, której nie czułam. Ale ja nie umiem udawać!

— Przeciwnie — odparł Silas żywo — poważam i cenię tę prawdomówność w pani i wdzięczny pani jestem za jej zaufanie.

— Co za doskonała, szlachetna kobieta — pomyślał — i co za szkoda, że miała tak przykre rozczarowanie. Szczęście tylko, że ten oszust Willemer umarł, bo tyle z słów jej zrozumiał.

Opanowało go głębokie współczucie dla pięknej a nieszczęśliwej kobiety, która krzyż swój tak spokojnie bez skargi nosić umiała. Wszystkie wątpliwości jego co do charakteru pani Willemer znikły w jednej chwili i czuł on teraz tylko litość dla nieszczęśliwej kobiety.

Wyrzekł do niej kilka ciepłych, pocieszających słów i dodał, że wzorowe spełnianie obowiązków i poświęcanie się jej dla biednych obłąkanych, powinno jej przecież sprawiać pewną satysfakcję.

Pani Willemer zaprzeczyła skromnie jego pochwałom i wyszła z kancelarii.

Gdy tylko drzwi pokoju jego zamknęła, zmienił się wyraz jej twarzy. Tryumfujący uśmiech okolił jej usta.

— Każdy początek jest trudny — mruknęła — w każdym razie pierwszy szturm do jego serca już został przypuszczony. Współczuje ze mną, będzie o moim losie myślał, a ja postaram się już o to, aby się ta przychylność jego w miłość zamieniła.

Odtąd starała się być jeszcze czynniejszą, aby działalnością swą zadowolić doktora Silasa, nie narzucając mu przytem swego towarzystwa. Widywała się z nim tylko w obecności osób trzecich i trzymała się w rezerwie.

Postępowaniem tym zwiększał się jeszcze szacunek dyrektora. W marzeniach swych widziała ona się już panią doktorową Silasową.

Tak upłynęło spokojnie kilka tygodni, aż pewnego dnia zjawił się pan Ismar Kohen w sanatorium, ten, którego nazwisko baron Sturmfeder do łotrowstwa swego nadużył.

Krótkimi słowy opowiedział doktorowi Silasowi, że się dowiedział w jak haniebny sposób baron Sturmfeder z pomocą jednego z współwyznawców jego, niejakiego pana Kadde, nazwiska jego nadużywali, aby wykonać zbrodnię zwabienia młodej i zdrowej dziewczyny do domu obłąkanych. Dodał jeszcze, że kazał szpiegować obu tych łotrów i że wykrył, że Kadde dostał od barona weksel na 3 tysiące na pomoc w tej sprawie.

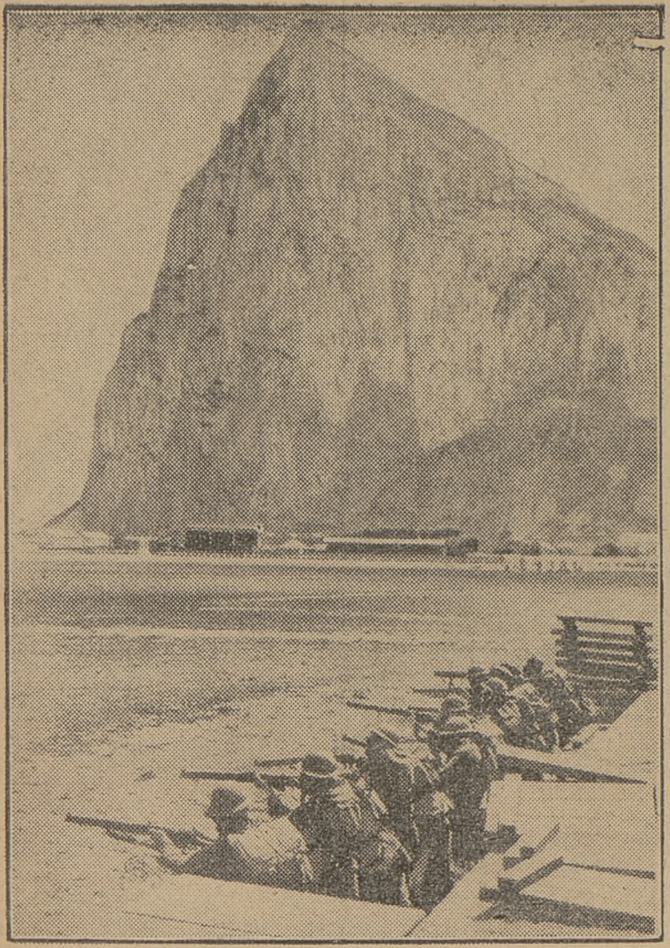
— Może pan bezpiecznie zaskarżyć obu tych oszustów — kończył pan Ismar Kohen — i aby ich dosięgnęła zasłużona kara, za krzywdę wyrządzoną staremu, nieszczęśliwemu człowiekowi.

Oczy jego pałały nienawiścią, a ze słów jego wyczuć można było nieprzebłagany gniew na barona i jego pomocnika.

Doktor Silas nie mógł uwierzyć, aby baron Sturmfeder, członek jednej z najstarszych arystokratycznych rodzin w Austrii, mógł tak nisko upaść, lecz Kohen odpowiedział:

— To go pan chyba nie zna! To jeden z największych łotrów na świecie. Gdybym panu zaczął opowiadać o jego sztuczkach, to by panu włosy na głowie stanęły. Ja na pana miejscu wniósłbym natychmiast skargę przeciwko baronowi, ale ja nie mam prawa, namawiać pana. Rób pan, jak pan chce!

— Gdyby się Kadde przyznał, że uczynił to w imieniu barona Sturmfedera, to bym



wtedy przeciwko baronowi wniósł skargę, ale bez tego nie mogę! — rzekł dyrektor Silas.

— Dobrze — zawołał Kohen żywo — wpłynę na Kadde'go, aby wyznał prawdę. Jestem pewny, że i pani Herbert zaskarży barona, bo ona go nienawidzi!

Potem zwrócił Kohen rozmowę na swoją wnuczkę i prosił Silasa, aby ją do swego sanatorium na czas pewien przyjął. Uczynił to głównie dlatego, bo wiedział, że Silas nie żąda zapłaty z góry. Umówiwszy tę sprawę, oddalił się Kohen.

Pani Willemer podsłuchała swoim zwyczajem całą tę konferencję, a gdy jej doktor Silas wieczorem o tym opowiadał, udała, że nic nie wie.

Wysłuchawszy wszystkiego spokojnie, rzekła wreszcie:

— Ja na pana miejscu, namyśliłabym się dobrze wpierw, nim bym poczyniła kroki przeciwko baronowi Sturmfederowi, który należy do starej szlachty austriackiej. Może pan przez to narazić się całej arystokracji i bardzo na tym ucierpieć. Panu Kohenowi pewnie to nie zaszkodzi!

Tu urwała i zarumieniwszy się, spuściła oczy. Było w tym coś tak wzruszającego, że dobroduszny Silas oprzeć się temu nie mógł.

— Ona mnie kocha! — pomyślał, a myśl ta zdawała się sprawiać mu pewną przyjemność.

Aby ukryć pozorne swe zmieszanie, zwróciła pani Willemer zaraz rozmowę na inny przedmiot.

— Czy wie pan, panie dyrektorze — rzekła — że panna Herbert jest zaręczoną?

Wypowiedziała to pozornie bez celu, ale w rzeczywistości chciała już dawno Silasa o tym uwiadomić, aby wiedział, że z tamtej strony nie ma się niczego spodziewać.

Silas zbladł widocznie i starał się daremnie ukryć swe rozczarowanie.

W cieniu gór Gibraltaru stacjonujące tam oddziały angielskie urządziły manewry.

— Z kim zaręczona? — spytał, aby coś powiedzieć.

— Z hrabią Wildenstein — odparła pani Willemer — bardzo romantyczna historia!

I zaczęła mu opowiadać wszystkie szczegóły z życia Sylwii. Nie wymieniła tylko tej okoliczności, że hrabia znikł bez śladu, aby nie wzbudzać w doktorze nowych nadziei. Wypowiedziawszy wszystko, co sobie na dziś postanowiła, odeszła przebiegła kobieta, zostawiwszy Silasa w głębokiej zadumie.

On zaś przechadzał się wielkimi krokami po pokoju i tak rozmyślał:

— To cudne jasnowłose dziewczę jest narzeczoną innego i nigdy już moją być nie może. Pani Willemer zaś kocha mnie szczerze i jedynym celem jej życia jest widocznie uczynić mnie szczęśliwym. Muszę się więc starać zapomnieć o Sylwii i jutro zaraz oświadczyć się tej, także pięknej, a tak kochającej mnie kobiecie.

Z tym postanowieniem ułożył się doktór Silas do snu, ale tygodnie od tego czasu upływały a on jeszcze na nic zdobyć się nie mógł. Obraz Sylwii zanadto głęboko mu się wrył w serce, aby się tak prędko mógł zatrzeć.

Pani Willemer postępowała konsekwentnie dalej, wedle swego przebiegle ułożonego planu. Czuła, że jej Silas nie kocha, ale była pewną, że ma on dla niej najwyższy szacunek i przekonanie, że nikt inny tak szczerze i dzielnie nie mógłby się zakładem jego zająć.

Wreszcie cierpliwość jej zaczęła się wyczerpywać. Ciągła irytacja i niepewność w której żyła, podziałały na jej nerwy i wygląd, że straciła swą świeżość, głos jej dziwnie się zaostrzył, a postępowanie jej wobec służby, było jeszcze gorsze niż dawniej.

Było dla niej strasznym przymusem udawać wesołą i spokojną, kiedy niepewność i wewnętrzna irytacja ją pożerały.

— Dlaczego on zwleka — myślała — dlaczego nie chwyta tego szczęścia, które się jemu nadarza? Czy nie jestem młodą i piękną? Widzę, że go będę musiała zmusić do tego szczęścia!

Zadumała się głęboko, siedząc w kącie kanapy. Wreszcie zerwała się i krzyknęła:

— Wiem już co zrobię! Zagrożę mu, że opuszczę zakład. Wiem, że on mnie nie zechce opuścić, bo mu jestem niezbędną, i aby mnie nie stracić, ożeni się na pewno ze mną.

Nazajutrz rano, ubrała się jak najstaranniej i obejrzawszy się z zadowoleniem w lustrze, udała się do pokoju dyrektora i siadła ze spuszczonymi oczyma na wskazanym sobie miejscu.

— Czy mi pani ma coś ważnego do powiedzenia? — zapytał Silas zaniepokojony jej milczeniem.

— Tak — odparła pani Willemer zarumieniwszy się i znów umilkła.

— Niech pani mówi bez ogródek — ośmielał ją doktór — będzie to dla mnie przyjemnością, jeżeli się pani będę mógł czymś przysłużyć!

Pani Willemer wybuchła spazmatycznym płaczem.

— Muszę dom pański opuścić — rzekła przez łzy.

— Dom mój opuścić? — zdziwił się Silas. — Dlaczego? Czy panią tu kto obraził?

Łzy spływały jej po policzkach, ale ona milczała.

— Niech pani powie, co się stało? — nalegał doktór.

— Niech mi pan oszczędzi odpowiedzi — błagała pani Willemer — ja... ach, ja jestem bezdennie nieszczęśliwą!

— Niech pani powie, kto panią dotknął i dlaczego pani chce sanatorium opuścić? — prosił znów doktór Silas.

— Bo chce szukać zapomnienia — szepnęła ona, rzucając na niego wymowne spojrzenie.

— Czym by panią tu można zatrzymać? — spytał dyrektor, który nie chciał stracić tak dobrej siły.

Pani Willemer zarumieniła się i rzuciła mu drugie, bardziej jeszcze wyraziste spojrzenie.

— Czy mogłaby się pani zdecydować zostać tu jako pani, jako właścicielka i władczyni?

Pani Willemer drgnęła.

Była to propozycja małżeństwa, ale nie było równocześnie oświadczeniem miłosnym. Spokojne, umiarkowane jego słowa, podziałały na nią jak zimny tusz, bo ona doktora namiętnie kochała.

Serce jej uderzyło żywiej, opanował ją dziwny upór.

Gdyby tamta znienawidzona osoba była na moim miejscu — myślała — byłby on w innym tonie do niej przemawiał. Byłby jej oświadczył swą miłość, a ze mną mówi jak o interesie!

W pierwszym porywie chciała mu odmówić, ale później namyśliła się, że to zanadto ryzykowne. Nie miała bowiem pewności, że on oświadczyny swe powtórzy.

— Czy nie może się pani zdecydować zostać moją żoną? — spytał zaniepokojony jej milczeniem. — Czy nie ma pani dla mnie najmniejszej sympatii?

— Niestety, rzecz ma się przeciwnie — odparła namiętnie — kocham pana bardziej, niż swe życie!

— Dziękuję pani — rzekł on, schylając się i całując ją w rękę — mam nadzieję, że mi się uda panią uszczęśliwić i że pani nie będzie miała nigdy powodu żałować, że została moją żoną.

Słowa jego były serdeczne, ale nie namiętne, a to głęboko bolało młodą i piękną kobietę.

Czyż serce tego uwielbianego człowieka, nie miało i w małżeństwie do niej należeć? — zapytała siebie sama w duchu, a myśl ta sprawiła jej niewymowną boleść.

Rzuciła tę myśl, pocieszając się tym, że się jej z czasem uda pozyskać jego serce.

Popatrzywszy na niego czule, szepnęła mu kilka czułych słów, a on pochyliwszy się nad nią, pocałował ją w czoło.

Gorące dreszcze przeszły po czole pięknej kobiety.

Był to pierwszy pocałunek ukochanego mężczyzny.

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi. Pani Willemer byłaby mogła z zimną krwią zadusić osobę, która tak nie w porę pierwsze zbliżenie się ich przerwała, ale doktór wyglądał, jakby mu to wcale na rękę było.

— Proszę wejść — odpowiedział głośno i do pokoju wszedł służący.

— Przepraszam — rzekł — ale przyszedł ktoś i chce się koniecznie rozmówić z panią Willemer.

— Niech się ta dopytująca osoba... zaczęła pani Willemer, ale utknęła w połowie i utkwiła osłupiały swój wzrok w przybyszu, którym był obdarty mężczyzna. Wszedł, nie czekając na zezwolenie i patrzył z ironicznym uśmiechem na piękną kobietę i na dyrektora.

— Czy może przeszkadzam? — zapytał szorstkim, nieprzyjemnym głosem. Bardzo by mi przykro było.

Pani Willemer zbladła śmiertelnie i drżała na całym ciele.

— Chodź pan ze mną do mego pokoju — rzekła bezdźwięcznym głosem, oschłym głosem, i wstała aby wyjść z pokoju.

— Dlaczego obchodzisz sie ze mną jak z obcym? — rzekł przybyły mężczyzna marszcząc brwi — tak mnie witasz po 6 latach niewidzenia? Czy może uciecha twoja jest tak wielka, że nie masz słów?

— Czy to jaki krewny pani? spytał dyrektor Silas obrzucając obcego nieufnym spojrzeniem.

Ale nim jeszcze pani Willemer zdołała odpowiedzieć, rzekł obcy mężczyzna:

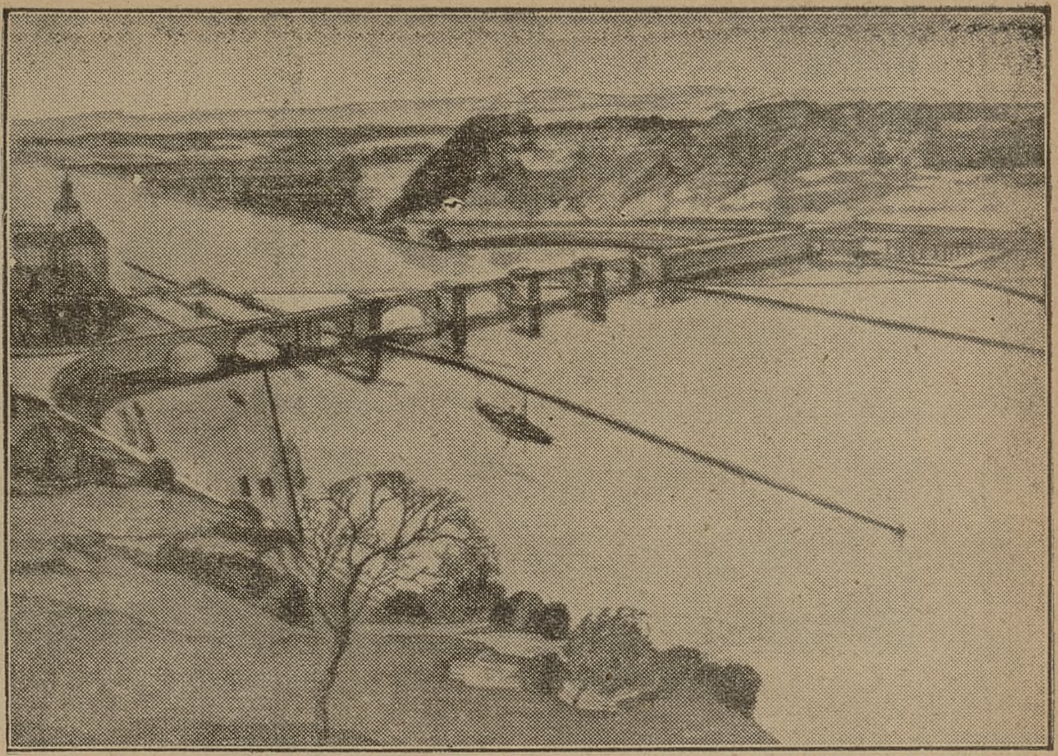
— Więcej jeszcze niż krewny! Jestem bowiem mężem pani Willemer.

Doktor Silas wydał okrzyk zdziwienia.

— Mężem pani Willemer? — zawołał. — Ależ to niemożliwe! Pani Willemer jest moją narzeczoną!

Na te słowa roześmiał się obcy głośno i szyderczo.

— Tak więc rzeczy stoją! — zawołał. Więc Augusta Hölzel miała rację gdy mi powiedziała, że pani Willemer ma widoki zostania panią dyrektorową Silas. Widzę, że niewczas przyszedłem. Moja małżonka myślała widocznie że umarłem, bo się przez 6 lat do niej nie odezwałem. Po co się miałem odzywać, kiedy mi się dobrze powodziło! Ale przed rokiem stosunki moje



W Austrii rozpoczęto budowę olbrzymiej zapory wodnej na Dunaju pod m. Persenberg.

się zmieniły. Miałem pecha, okropnego pecha! W biedzie swej przypomniałem sobie swoją wierną, kochającą żonę — dodał z ironicznym naciskiem — i wróciwszy do Austrii zacząłem się o nią dopytywać. Przez długi czas nie mogłem odnaleźć jej śladu, aż wreszcie dowiedziałem się o niej, dzięki dawnej dozorczyni tego zakładu, pannie Auguście Hölzel.

— O — westchnęła ani Willemer — ja przeczuwałam, że mi ta osoba nieszczęście przyniesie!

— Nie jest to bardzo pochlebne dla mnie — odparł pan Willemer spokojnie — ale ja potrafię pogodzić cię z myślą mego powrotu, moja kochana! Będę dla ciebie tak czuły, jak narzeczony! Pożegnaj się z tym panem, moja żono, bo wracamy natychmiast do Wiednia.

— Nigdy — jęknęła nieszczęśliwa kobieta. Nigdy się na to nie zgodzę, aby do ciebie wrócić. Tyś mnie unieszczęśliwił, nędzę na mnie sprowadziłeś, a teraz masz jeszcze odwagę pokazywać mi się na oczy? Między mną a tobą utworzyła się przepaść, której nic zapełnić nie potrafi!

Z wzrastającym zdziwieniem przysłuchiwał się doktór Silas tej rozmowie.

A więc ta kobieta, o której rękę on przed chwilą prosił, była żoną innego?

Było widoczne, że sama wierzyła w śmierć swego męża, nie mógł jej więc z tego powodu robić wyrzutów.

Biedna kobieta wyglądała złamana i zniszczona, a w oczach miała coś tak obłędnego i rozpaczliwego, tak, że dobroduszny Silas, uczuł dla niej jak najszczerszą litość.

Chciał się do niej z kilku pocieszającymi słowami zbliżyć, ale ona wyszła z pokoju, rzuciwszy mu spojrzenie, które go serdecznie zabolało.

Mąż jej rzekł tymczasem do niego poufałym tonem:

— Jakby się pan doktor na to zgodził, abym i ja tu został, to pozwoliłbym mojej żonie, aby tę posadę u pana zatrzymała pod tym warunkiem naturalnie, że ja będę dostawał całą jej pensję. Wie pan z pewnością, że każdy mąż ma prawo do całego zarobku, czy też spadku swej żony!

Silas odwrócił się z obrzydzeniem od tego podupadłego, brutalnego człowieka.

Wydawało mu się niemożliwem, aby pani Willemer zgodzić się mogła na powrót do tego człowieka. Namyślał się nad znaczeniem jej spojrzenia i sądził, że wyrażał prośbę:

— Zatrzymaj tego nędznika tutaj, nim mi się uda uratować się przed nim ucieczką!

Zwróciwszy się więc znów do pana Willemera rzekł:

— O ile wiem, był pan dawniej oficerem i posiada pan pewne wiadomości. Czy potrafiłby pan na przykład prowadzić książki itd?

— Hm, z pewnością — odparł ex-oficer przeciągle — potrafiłbym, ale wątpię, czy by mi zajęcie odpowiadało. Nie mam dużych wymagań. Gdybym miał w sanatorium mieszkanie, wikt i bieliznę, to 100 reńskich miesięcznie wystarczyłoby mi zupełnie na moje poboczne wydatki. Tej małej sumy zaś dostarczy mi moja żona, spodziewam się!

— Czy pan chce być na utrzymaniu swej żony? — zapytał doktór ironicznie.

— Nie będziemy się teraz nad tym zastanawiać — odparł ex-oficer z zimną krwią — przykro mi, że tu w tak wytartym ubraniu przyjść musiałem i obawiam pokazać się tak służbie, aby mnie później nie lekceważyła. Czy pożyczyłby mi pan jednego ze swoich ubrań, nim sobie nową garderobę kupię? Jesteśmy mniej więcej tej samej postaci, i zobowiązałby mnie pan bardzo tą przysługą!

— Chętnie — rzekł Silas — proszę niech pan pozwoli za mną, do mej garderoby!

Pan Willemer wybrał najlepsze i najnowsze ubranie, i niezwłocznie się w nie przebrał.

Podczas tej czynności opowiedział doktorowi kilka epizodów ze swego życia, które mu się bardzo zajmujące wydawały.

Silas zaś dowiedział się z tego, że Willemer był nałogowym graczem i że stra-



Miejscowość Wachau w Austrii stanowi jeden z najpiękniejszych widoków naddunajskich.

ciwszy cały majątek swej żony był w końcu krupierem.

Poruszał się tu tak swobodnie, jak gdyby już co najmniej był wspólnikiem doktora Silasa. Domawiał się nawet o śniadanie, które mu Silas zaraz kazał podać, a które on z największym apetytem spożył, popijając czerwone wino.

Przyjął też podane sobie przez Silasa cygaro i zapalił je z miną znawcy.

Tym sposobem upłynęła więcej niż godzina czasu od wyjścia pani Willemer z pokoju.

— Moja żona nie zaszczyca nas swoim towarzystwem — rzekł wreszcie Willemer z cynicznym uśmiechem.

— Pani Willemer jest przed obiadem bardzo zajęta w zakładzie — odparł doktór.

— A na czym polega czynność mej żony? — spytał ex-oficer i zadzwonił na służącego, aby się dowiedzieć, gdzie się żona jego obecnie znajduje.

— Pani Willemer jest w swoim pokoju — była odpowiedź.

— Proszę mnie do niej zaprowadzić — rzekł rozkazująco.

Służący poprowadził go przez długi korytarz i schody na dół i wskazał mu żądane drzwi.

Położył rękę na klamkę i chciał wejść bez pukania, ale drzwi były na klucz zamknięte i nikt się nie odzywał.

— Otwórz Elzo — zawołał rozkazująco, a gdy i na to nie otrzymał odpowiedzi, zapytał służącego:

— Czy ten pokój ma jeszcze drugie wejście.

— Nie — była krótka odpowiedź służącego.

— W takim razie będę musiał drzwi gwałtem wyłamać — rzekł Willemer — bo się obawiam, czy się mej żonie coś złego nie stało.

— Klucz z 12-tego numeru otwiera te drzwi — rzekła jedna z przechodzących dozorczyń, i pobiegłszy prędko, wróciła po chwili z kluczem.

Ale klucz ten nie dał się wsunąć w dziurkę, gdyż od środka tkwił inny klucz.

— Będę musiał wleźć po drabinie przez okno — rzekł Willemer po chwili.

Tymczasem zgromadził się cały personel na korytarzu i jedna z dozorczyń pobiegła do doktora Silasa, aby mu opowiedzieć, co się stało.

Silas zbladł jak ściana i kazawszy prędko przynieść drabinę, wszedł po niej i przez szybę, którą w oknie wybił, przepchał się do eleganckiego pokoiku pani Willemer.

Leżała ona na kanapie blada i nieruchoma.

Jedno spojrzenie doświadczonego lekarza wystarczyło, aby się przekonać, że była trupem.

Przed nią stała próżna flaszeczka o bardzo ostrym zapachu. Na biurku zaś jej leżał list zaadresowany do doktora Silasa.

Dyrektor otworzył go i czytał ze wzruszeniem.

Treść listu była następująca:

Kochany!

Dziś otrzymałam pierwszy pocałunek od ciebie. Dał on mi odwagę do śmierci. Czoło, którego się twoje usta dotknęły, nie śmie być splamione pocałunkiem innego mężczyzny. Wybacz, jeżeli śmierć moja przykrość ci sprawi! Kochałam cię zanadto, abym mogła do kogo innego należeć. Niech cię Bóg błogosławi!

Twoja Elza.

Wzruszony Silas, wsunął list ten do kieszeni, aby go żadne obce oko nie sprofanowało.

Tymczasem wlazł też mąż nieboszczki po drabinie do pokoju.

— Nieżywa! Umarła! — wrzasnął dziko. — Więc tak mnie nienawidziła, że wolała śmierć niż życie u mego boku. O, ja nieszczęśliwy, który całą nadzieję w niej pokładałem! Odebrała sobie życie na to, aby mnie zostawić w nędzy i niedostatku!

— Niech pan nie znieważa tego miejsca samolubnymi skargami! — rzekł Silas ostro. — Niech jej pan po śmierci przynajmniej użyczy spokoju, którego za życia nie miała z winy pana!

ROZDZIAŁ CCCV.

Serce ludzkie jest nierozwiązaną zagadką

Gdy się Francis obudziła z omdlenia i spojrzała błędnie wokoło siebie, zarumieniła się, gdy zobaczyła, że ją Bill trzyma w swych objęciach.

— Czy to naprawdę ty Billu? — spytała ona nieśmiało.

— Jak widzisz, chłop... — chciałem powiedzieć panienko! — poprawił się Bill.

— Ależ powiedz mi na miłość Boską, co ty robisz tutaj? — spytała Francis trwożliwie.

— Szukałem ciebie! — odparł Bill lakonicznie, ale ton i wzrok jego były wymowniejsze od słów.

Francis zadrżała i oglądnęła się wokoło siebie. Nie zobaczyła jednak nikogo więcej, bo wszyscy oddali się dyskretnie. Mogła więc pomówić z Billem bez świadków.

— Billu — rzekła — błagam cię, powiedz mi, co się tu stało?

— Mogę ci to powiedzieć w kilku słowach — odparł Bill spokojnie. — Brakowałaś mi, szukałem cię i znalazłem szczęśliwie! Czy myślisz, ty małe głupiutkie stworzenie ,że ja cię puszczę samą w daleki świat?

Nie wspomniał jej nic o podejrzeniu, które go trapiło, bo wstydził się tego i bał się, że ją tym obrazi.

Nie wspomniał też nic o swoich strapieniach. Myślał teraz tylko o tym, że znalazł Francis i cieszył się tą myślą.

Ale w jej sercu uczucia jego nie znalazły odgłosu. Spojrzała ona na niego prawie gniewnie.

— Nie potrzebuję żadnej obrony — rzekła ostro — co ci daje prawo do narzucania mi się swoją opieką?

— Moja miłość dla ciebie — odparł Bill smutny — ja cię nie opuszczę, chociażbyś mnie nawet od siebie odpędziła.

Ale odpowiedź jego zwiększyła tylko gniew dziewczyny.

— Nie odważaj się wywierać przymusu — rzekła wzburzona — bo poznasz moją zemstę!

— Podobasz mi się teraz jeszcze więcej — rzekł Bill spokojnie — bo widzę, że masz temperament, a ja za nic w świecie nie chciałbym mieć żony, którą bym na palce mógł owinąć! Nie obawiaj się przymusu z mej strony, chcę tylko czuwać nad tobą, aby ci się nic złego nie stało. Podaj mi rękę i bądźmy znów przyjaciółmi!

Włożyła swą rękę z wahaniem w poczciwą dłoń jego. On zaś uścisnął jej rękę serdecznie i spytała: (C.d.n.)

MARIA REUTT

Anna

Podła, wstrętna baba — złorzeczyła umarłej hrabinie — przez tę obrzydliwą staruchę to wszystko się stało. Nie bała się konsekwencji. To już było sprawą jej szefów. Oni załatwią wszystko, ułatwią jej wyjazd z Polski, zapewnią bezpieczeństwo i bezkarność. Czuje, że popełniła wielką nieostrożność, odkrywając swoje karty przed Leonem. Trzeba było zaprzeć się wszystkiego, zaprzeczyć z oburzeniem, poniosła ją zadaleko złość i żałość.

Niech tam! Mam dosyć Polski i Polaków. Będą musieli ją wysłać do Czechosłowacji, Jugosławii lub Węgier a może i dalej. Było jej wszystko jedno, gdzie los ją zapędzi, byleby tylko płacili dobrze. Bo pieniądz to wszystko! Stała się bolszewiczką nie z przekonania, a dla zysku, dla zaspokojenia nienawiści do możnych, z zawiści. Zazdrościła im bogactwa, majątków, stanowiska w świecie, klejnotów, podróży naokoło świata. Zobaczyć Paryż, Londyn, Niceę, Rzym... Musi je widzieć, musi tam pojechać i pojedzie!

Była młodą, uważała się za bardzo piękną, czarującą i w niczym nie ustępującą pod każdym względem córkom bogaczy, a była pozbawiona tego wszystkiego, co było ich udziałem, tylko dla tego, że była córką lokaja. Nienawidziła pracy. Rodzice wmówili w nią, że jej zgrabne rączki nie są stworzone do roboty. Uwierzyła w to. I to było głównym powodem jej bolszewizmu. Rabować cudze kosztowności, grabić je dla siebie, stroić się w nie, widzieć wszystkich swoich dawnych znajomych bogaczy i inteligencję poniżonych, upokorzonych, zbiedniałych, nieszczęśliwych było dla niej najwyższą radością.

Jej największym osiągniętym triumfem było kopnięcie dumnej hrabiny Natalii i wyrzucenia jej zemdlonego ciała na schody.

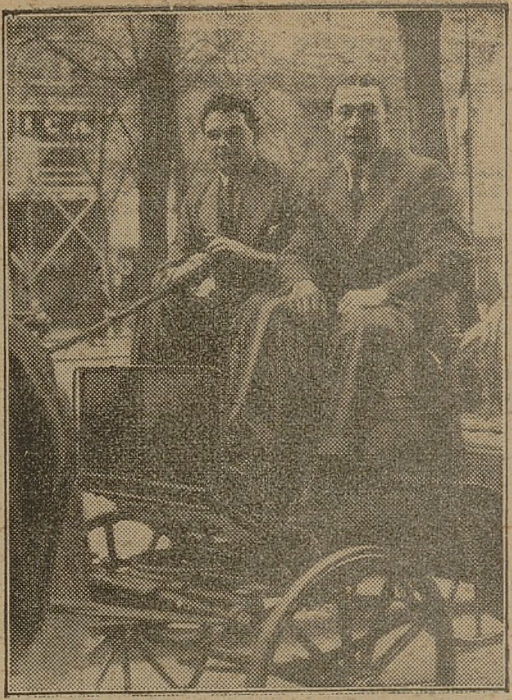
Kartki księgi życia odwróciły się. Teraz ota była na wierzchu, na górnym szczeblu pozycji towarzyskiej i miała moc upokarzania tych, którzy na nią jeszcze tak do niedawna patrzyli. Byli oni niegodnym śmieciem pod jej nogami, teraz płaciła im te urojone winy z nawiązką.

Zdobywszy władzę w swym kraju zapragnęła towarzyskiego stanowiska i w innych krajach Europy, a to mogła uzyskać przez małżeństwo z hrabią Leonem Bilińskim, cenionym urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. On da jej tytuł, da jej równość z tymi wszystkimi damami, które widywała w kościele, lub parku w Bilince.

I ta podła, wstrętna stara baba swą głupią śmiercią zepsuła jej tę grę! — Złość na hrabinę trzęsła nią jak febra. Przegrała tę walkę, ale nie czuła się pobita.

Wstała, świeżą chusteczką osuszyła oczy, przypudrowała i podmalowała twarz, włożyła kapelusz, futro i wyszła. Na Marszałkowskiej pochłonął ją od razu tłum, owionęło ją zimne, mroźne powietrze. Otuliła się szczelniej fokowym futrem, mrugając nerwowo powiekami, gdyż raziło jej oczy jaskrawe marcowe słońce.

Na przystanku wsiadła do tramwaju. Przy rogu ul. Złotej wysiadła i skręciła na lewo w ul. Mariańską. Zadzwoniła do mieszkania na 3-im piętrze. Otworzyła jej dość niedbale ubrana dziewczyna w czerwonej bluzce i zielonej przepasce na rozczochranych włosach.



Do Wiednia przybył znajdujący się w podróży poślubnej słynny bokser Ben Foord

— Pan Goldblum jest bardzo zajęty — oznajmiła Annie lekceważącym tonem.

— Nic nie szkodzi — odpowiedziała jej Anna w tym samym tonie — muszę się z nim zobaczyć.

Nie pytając o pozwolenie, nie zwracając uwagi na niezachęcającą postawę dziewczyny weszła do środka i skierowała się do drzwi na prawo.

Pokój był duży, jasny, dostatnio umeblowany. Przy mahoniowym biurku siedział osobnik o typie semickim, zajęty pisaniem.

Na wchodzącą podniósł gniewne, niechętne spojrzenie, które zmiękło na widok gościa. Zerwał się z krzesła i szedł jej na spotkanie z wyciągniętą przyjaźnie dłonią. Zaprowadził ją do fotelu, podsunął papierosy i dopiero wtedy usiadł na krawędzi biurka.

— Co nowego? — spytał uśmiechając się do niej przyjaźnie.

Odpowiedziała niedbale. — Nic ważnego, ale muszę zniknąć na jakiś czas z Warszawy.

— Hm... mruknął. Zmarszczył brwi i gryzł nerwowo koniec papierosa.

— Tak, muszę ulotnić się. Ta stara czarownica, matka Leona, otruła się, bo otrzymała anonim na mnie. Kochający synek tak się tym przejął, że dał mi 24 godziny na zlikwidowanie swego pobytu tutaj.

Goldberg uśmiechnął się pobłażliwie. Zsiadł z biurka, otworzył szufladę i podał Annie małą, cienką oprawną w czarne płótno książeczkę.

— Oto twój dowód osobisty. Jesteś Anną Polkowską, urodzoną w Kozielcach pod Brześciem. Ojciec twój był doktorem, umarł w czasie wielkiej wojny. Masz kuzyna, urzędnika bankowego w Nowogródku. Nazywa się Aleksy Pawłow i jest Rosjaninem.

— Gdzież znajduje się ten Nowogródek. Nigdy dotąd nie słyszałam o takim mieście.

Podszedł do mapy wiszącej na ścianie i końcem papierosa wskazał jej punkcik niedaleko granicy bolszewickiej.

— W Nowogródku wakuje posada biuralistki w Województwie. Obejmiesz tę posadę. Napiszę do Pawłowa, że przyjeżdżasz. Ma przyjaciela, urzędnika w sekretariacie Województwa, postara się więc z jego poparciem o uzyskanie dla ciebie tej posady.

Schowała dowód i znów wyciągnęła rękę do niego.

— Potrzebuję pieniędzy!

Otworzył boczną szufladę i podał jej kilka setek.

Schowała niedbale wsuwając do woreczka.

— Dziękuję. Kiedy mam jechać?

— Jutro wieczór, ale lepiej będzie, jeżeli rzeczy wyślesz dziś wieczorem. Tylko żadnych notatek, żadnych papierów — ostrzegał ją na pożegnanie.

Nie uśmiechał jej pobyt w Nowogródku; marzyła o Wiedniu, Budapeszcie lub Pradze, a tu każą jej jechać do jakiejś nieznanej dziury pogranicznej!

— — — — — — — —

W Nowogródku otrzymała z łatwością posadę, o której mówił jej Goldberg. Posiadała bardzo dobre świadectwa od znanych osób z Kijowa i jej uroda i osobisty przymilny wdzięk dokonały reszty. Poczuła się w biurze od razu dobrze i swobodnie. Młodzieży było dużo, szczególniej oficerów i urzędników Województwa, którzy w tej małej kresowej mieścinie nudzili się zawzięcie i cieszyli się na flirt z młodą, ładną i przystępną kobietką, lubiącą tańce i zabawy.

Mieszkała u Pawłowa, którego nazywała kuzynem. Żona jego zahukana, cicha kobiecina uwielbiała bezgranicznie i bezkrytycznie swego przystojnego męża. Pomimo niezbyt dużej pensji zajmowali wygodny domek, przyjmowali często gości, którzy schodzili się do nich na bridża i smaczne kolacje.

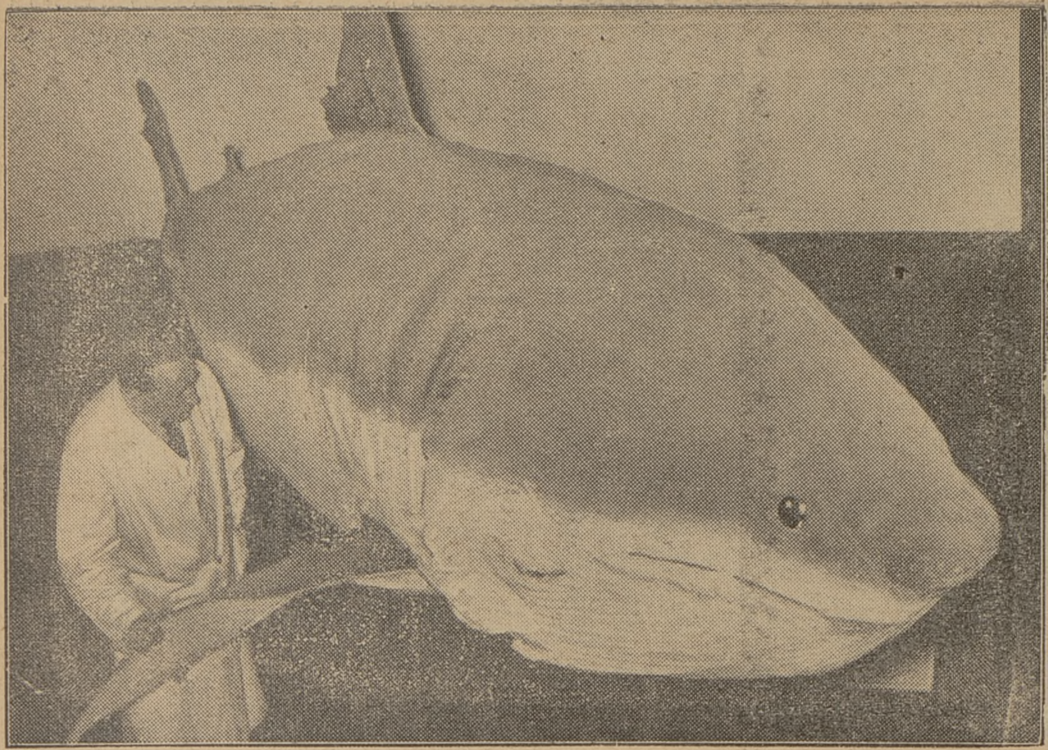
Krąg przyjaciół powiększył się znacznie z przybyciem do nich Anny. Zlatywały się do niej młodzież niczem pszczoły do miodu, napełniała gwarem i śmiechem niskie pokoiki dworku. Anna przyjmowała mile te zaloty, była młodą, chciała używać życia póki mogła.

W biurze zaskarbiła sobie prędko łaski wszystkich. Grzeczna, uczynna, pragnąca usłużyć każdemu, wyręczyć, zastąpić w dyżurze, jednym słowem skarb koleżanki.

Jedynie do oficerów odnosiła się z rezerwą i nieufnością i rzadko kiedy przyjmowała zaproszenia do kasyna na bale.

* * *

Na werandzie okazałego dostatniego dworu usadowiony wygodnie w trzcinowym fotelu starszy, siwy pan czytał uważnie list. Naprzeciw niego wyciągnięta na leżaku młoda panna przeglądała dzienniki paląc papierosa. Jej rudo-miedziane włosy lśniły złotem w słońcu, opuszczone, ciemne, długie rzęsy rzucały cień na białą cerę podłużnej rasowej twarzy. Drobne czerwone usta wygięte były w grymas ironiczny, jakby na zawsze przywarty do warg.



W berlińskim muzeum przyrodniczym wystawiono ostatnio wspaniały okaz wieloryba

— Wando — odezwał się mężczyzna — hrabia Mizocki pisze mi, że ma dla nas odpowiedniego kandydata na rządcę. Pochodzi z dobrej rodziny, wykształcony, exobywatel z Ukrainy, dobry fachowiec, sumienny, pracowity. Studiował rolnictwo w Lipsku. Może stawić się zaraz na posadę.

Młoda panna pomyślała chwilkę, jakby się nad czymś zastanawiała lub obliczała coś.

— Jeżeli hrabia Mizocki uważa go za odpowiedniego dla nas, to nie mamy na co czekać dłużej. Niech wuj napisze, by niezwłocznie przyjeżdżał.

Wyjęła z pudła nowego papierosa, zapaliła go:

— Nic więcej na dzisiaj wuju?

— Nie... same katalogi, oferty, ogłoszenia.

Podniosła się z leżaka, gwizdnęła na foxteriera, co leżał u jej nóg i zeszła z werandy.

— Nie spóźnij się na obiad — upominał ją wuj.

Patrzył jak szła przez ogród smukła, zręczna, elegancka, w krótkiej spódniczce i jasnej bluzce i westchnął głęboko. Była córką jedynego jego brata, sierotą. Mieszkał z nią od lat, chociaż posiadał sam duże kapitały w bankach i hipotekach i kamienicę w Warszawie.

Kochał tę dumną, śliczną dziewczynę szczerym ojcowskim uczuciem. Matka umarła przy jej urodzeniu, ojciec, gdy miała 15 lat. Była jedną z najlepszych partii w okolicy, bo ojciec zostawił jej duży majątek, a po matce odziedziczyła domy i kapitały.

* * *

Tak Leon jak Wanda oboje byli zaskoczeni. Każde z nich spodziewało się zobaczyć przed sobą osobę w średnim wieku siwawą, ociężałą, trochę rubaszną.

Gdy bryczka podjechała pod dom i Leon zeskoczył u podjazdu ujrzał młodą pannę, idącą ku niemu ogrodem. Nie zainteresował się nią. W obecnym jego stanie duchowym młode i piękne panie nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Ale zdumiał się, gdy w salonie pan Zułowski, odpowiadając na jego pytanie, powiedział:

— Cieszę się, że pan mógł przyjechać bezzwłocznie — moja siostrzenica — tu wskazał na młodą osobę, którą Leon już zauważył w parku — czekała na pana z niecierpliwością, bo trudno jej dać sobie radę bez rządcy w tak rozległych dobrach.

Leon ukłonił się nisko, jak przystało na podwładnego, ale oczy jego wyraziły zdumienie. Zdziwienie jego było tak szczere, tak wielkie i tak pełne admiracji, że każdy posiadający zmysł humoru wybuchnąłby niepohamowanym śmiechem, dyskretnym, przyciszonym, gdyby to był ktoś z dobrze urodzonych, głośnym i dźwięcznym, jeżeliby ta osoba pochodziła z niższej sfery.

Ale dziewczyna, która stała sztywno wyprostowana, nie posiadała tego uczucia. Zabiło w niej ten dar patrzenia na świat optymistycznie pod kątem widzenia humoru tragiczne przeżycia pewnej nocy. I zamiast śmiać się wesoło, patrzyła na stojącego przed nią mężczyznę ze ściągniętymi brwiami i z niezadowoleniem w twarzy.

Było to złośliwością ze strony hrabiego Mizockiego przysłać mi tak młodego administratora — myślała z niezadowoleniem i urazą. Głośno zaś powiedziała:

— Hrabia Mizocki prawdopodobnie objaśnił pana, co wymagamy od niego i podał nasze warunki.

— Tak, proszę pani — potwierdził sztywno, zrażony jej oficjalną postawą.

— Musi pan stawać pierwszy do pracy i kończyć ją ostatni. Buchalterię prowadzę sama. Śniadanie przynosić panu będzie chłopiec kredensowy, obiady jadać pan będzie z nami; co do kolacji to wymagana jest obecność pana dwa razy tygodniowo; resztą wieczorów — może pan rozporządzać dowolnie. Wymagam zastosowania się do tej umowy.

— Tak, pani — potwierdził krótko.

Panna Wanda spojrzała na zegarek na platynowej bransoletce.

— Jeżeli nie jest pan zmęczony możemy do obiadu obejść folwark.

Poprowadziła go po oborach, stajniach, owczarni, stodołach, zajrzeli do parownika, do stolarni, obejrzeli młocarnię parową, narzędzia rolnicze, inspekty, chlewnie. Udzielała mu krótkich, ale fachowych i rzeczowych wyjaśnień.

Po obiedzie — milczącej ceremonii spożywania darów Bożych w ponurej, wyłożonej dębem jadalni, zawieszonej portretami przodków — pojechali na oględziny folwarków. Wrócili prawie o zmroku. Został jeszcze do obejrzenia las — dębowy i olchowy bór — oraz dwa młyny parowy i wodny, tartak i gorzelnia.

— Co za bogactwo — myślał z uznaniem, większe od jego rodzinnych Bilinek.

Po kolacji przeszli do kancelarii, gdzie na dziedziczkę czekali ekonomowie i leśniczy, by zdać dzienny raport i otrzymać rozkazy na dzień następny.

Przedstawiła ich Leonowi, polecając zwracać się od dnia dzisiejszego po rozkazy i w kwestiach majątkowych tylko do niego.

Gdy wyszli, udzieliła mu wskazówek, co do porządków i rozkładu zajęć ustalonych u niej, oddała mu książki dzienne robót polnych i zaproponowała przejście do salonu, gdzie oczekiwał na nich pan Zułowski.

Starszy pan z miejsca zaproponował Leonowi partię szachów, na co ten zgodził się z przyjemnością. Grając, łatwiej mu było znieść obecność wyniosłej dziedziczki Bereznej.

Był pewny, że z czasem przywyknie do jej chłodnej wyniosłości i dumnej postawy; na razie działała mu na nerwy.

— Głupia gęś — myślał z niesmakiem — co ona sobie wyobraża. Może obawia się, że stanę się zbyt poufały, natrętny, że będę chciał odgrywać rolę uwodziciela?

Nie zgadł, nie domyślał się co było powodem jej wyniosłego zachowania się względem niego. Nie poznał w niej młodej dziewczyny, spotkanej w pociągu idącym do Monachim w 1913 roku.

Ale ona go poznała i jego złośliwa, niepochlebna uwaga o jej urodzie odżyła w jej pamięci, zapiekła przykrością w sercu na nowo. — „Nie lubię rudowłosych boginek z ich porcelanowymi niebieskimi oczami bez wyrazu i piegami na nosie. Są zazwyczaj fałszywe i banalne. — Wolę tę drugą"... Raniły jej dumę i próżność te słowa, dojmował do żywego ton niedbały, lekceważący, chociaż oczy jej były raczej zielone, a cera biała, czysta bez piegów i plam.

* * *

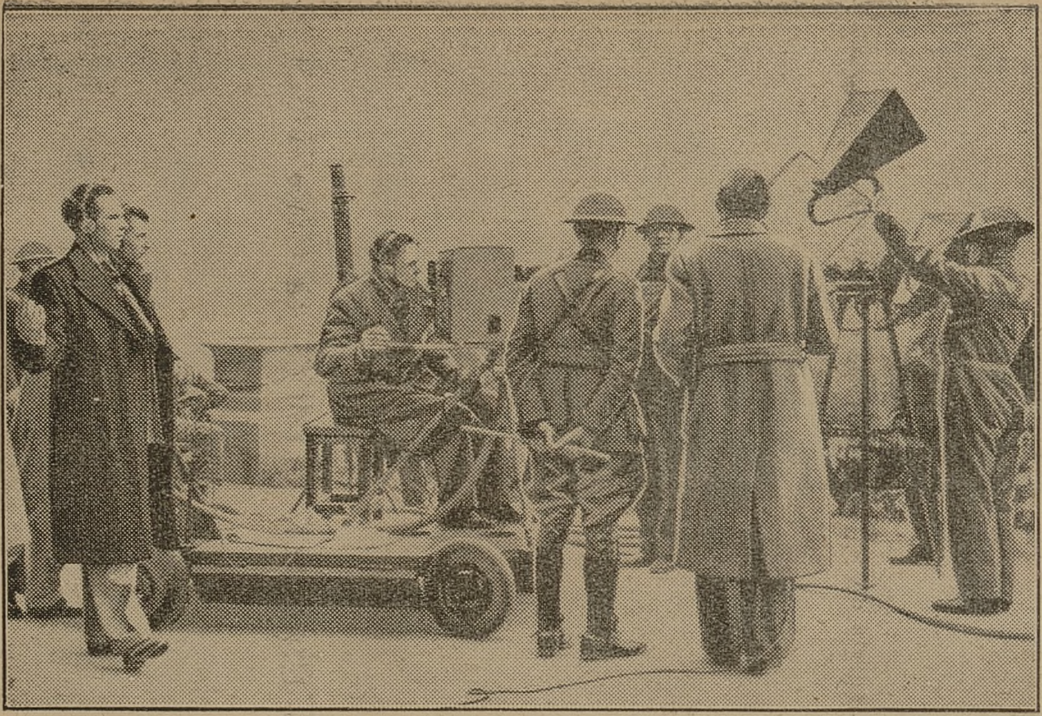
Nowy administrator denerwował Wandę, a jednocześnie zaciekawiał. Zachowywał się ze swobodą gościa, jak równy z równą, raczej sąsiad a nie rządca. Nie widział w niej i nie chciał widzieć chlebodawczyni i właścicielki tak rozległego majątku.

Grzeczny, uważny, ale grzecznością nie podwładnego, lecz dobrze wychowanego mężczyzny w stosunku do kobiety. I to ją drażniło i raziło.

W dodatku był taki przystojny i męski i za to nie lubiła go jeszcze więcej.

Roman był także przystojny i męski, ale jak niską, wyrachowaną, fałszywą okazała się jego natura.

Nie cierpiała od tego czasu wszystkich mężczyzn, nie ufała im, posądzała o gonienie za jej posagiem.



Celem zachęcenia ochotników do wstępowania w szeregi armii, radio angielskie nadało audycję telewizyjną z życia wojska. Zdjęcie przedstawia moment nadawania obrazu.

Że Leon należał z urodzenia i z wychowania do wyższych sfer, że miał sam kiedyś majątek, wiedziała od hrabiego Mizockiego, lecz co z niego był za człowiek, jakie miał zasady, co wart był moralnie, o tym wiedział tylko on sam.

No i nie lubił rudych włosów. Będąc kobietą fakt ten uraził ją najbardziej.

* * *

Leon pracował bardzo ciężko. Wstawał o czwartej i szedł na folwark. Wszędzie go było pełno, wszędzie był obecny, czujny, uważny; obiad jadał z panem Żułowskim i Wandą.

Nie znosił tego ponurego pokoju zawieszonego portretami, obstawionego naczyniami z kutego i lanego srebra z różnych epok i różnych stylów.

Z tęsknotą wspominał jadalnię w Bilince, ten jasny, słoneczny pokój wysłany dywanami, wytapetowany na srebrno-szary kolor z codziennie świeżymi, ciętymi kwiatami na stole. Posiłek ten ciągnął się zazwyczaj długo. Stary pan jadł wolno, żuł starannie potrawy, Wanda, niczym kapłanka, ceremonialnie sztywna, brała po odrobinie z każdej z potraw podawanych przez dobrze wyszkolonego lokaja; kilkoro osobników nieokreślonego wieku i płci, niepewnych, zastrachanych na szarym końcu stołu spożywało jedzenie milcząco, pokornie, nieśmiało i znikało w chwili, gdy pani domu dawała znak do powstania.

Jedynie Leon zachowywał się swobodnie. Jadł do nasycenia się ze smakiem i przyjemnością. Starał się podtrzymywać rozmowę; silił się na tematy lekkie, zabawne. Ale rzadko kiedy udawało mu się zainteresować Wandę, wciągnąć ją do rozmowy. Zazwyczaj słuchała z miną znudzoną, jakby była nieobecna myślą, jakby głosy z wewnątrz nie dochodziły do jej świadomości. Po obiedzie wracał do siebie aby przespać się pół godziny. Zrywał się z tej drzemki wypoczęty i szedł lub jechał na folwarki, w pole, albo do lasu.

* * *

Pewnego rana wracając konno z folwarku Leon spotkał Wandę jadącą na ulubionej bułance. Zawrócił i zrównał się z nią. Nie mogła uniknąć spotkania bez okazania mu, że sobie tego nie życzy. Nie zasługiwał na niegrzeczność lub afront z jej strony. Nie pytał o pozwolenie, uważał towarzyszenie jej za rzecz zupełnie naturalną.

Pojechali poprzez las do specjalnie urządzonej serowarni, a stamtąd do stadniny.

Nie chciała przyznać się sama przed sobą, że wycieczka ta wydała jej się bardzo przyjemną. Rozmawiali mało i przeważnie o sprawach i kwestiach majątkowych. Ani razu jego męski wzrok nie spoczął na niej z upodobaniem lub zainteresowaniem, ani razu on sam nie przysunął się bliżej, nie skorzystał z okazji, by musnąć ręką jej suknię, nie zacisnął palcy mocniej niż tego wymagała potrzeba koło jej dłoni, gdy pomagał jej zsiąść z konia.

Z niechęcią przechodząc przez hall musnęła wzrokiem swe miedziano-rude włosy. — To dlatego — przemknęło jej z żalem przez myśl.

* * *

Leon od śmierci matki źle sypiał po nocach i często cierpiał na nerwowe bóle głowy. Wstawał rano przeważnie z uczuciem zmęczenia i niewyspania.

Tego ranka jednak obudził się dziwnie rześki, wywczasowany i z przyjemnością wdychał świeże wonne powietrze pogodnego, lipcowego poranku.

Nawet ten tępy, nieustanny ból w sercu, który niczem robak toczył mu nerwy nie wydawał się tak dokuczliwy w ten piękny, poetyczny letni poranek.

Pogodny, prawie wesoły, podniecony urokiem natury szedł parkiem do oranżerii. Mijając tylną werandę domu ujrzał na niej Wandę, stojącą na ostatnim stopniu z psem. Ubrana była w popielatą spódniczkę, jedwabny zielony sweterek i takąż czapeczkę. Ten jaskrawy strój podkreślił jej oryginalną, wzywającą urodę.

Wyglądała tak ładnie, że z ust zerwał mu się mimo woli okrzyk uznania.

— Ślicznie pani w tym swetrze — powiedział zatrzymując się przed nią i obrzucając ją zachwyconym spojrzeniem.

Przyjęła ten jego komplement chłodno, wyniośle. Oczy jej nie zabłysły, nie zarumieniła się twarz.

— Ach tak? — powiedziała obojętnie, patrząc ponad jego głową na krzaki róż, rosnące na okrągłym klombie poza nim.

Jej poza i mina były tak ubliżająco wyniosłe, że Leon odczuł je jak policzek. Zbladł, oczy zabłysły mu hamowanym gniewem. Wzruszył lekko ramionami i poszedł dalej. Wściekły był na nią za ten niezasłużony afront i na siebie, że zaczepił ją rozmową. Zrobił to odruchowo pod urokiem dnia i jej urody.

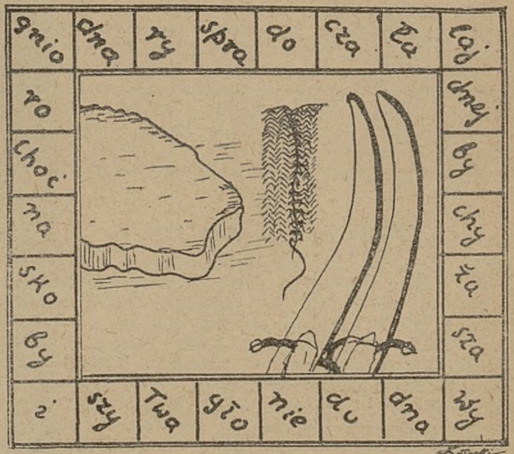
— Co za nieprzyjemna dziewczyna — zżymał się gniewnie, idąc grabową aleją w głąb ogrodu.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Łamigłówka

uł. F. Gałecki



Przeskakując jednakową ilość zgłosek, odczytamy złotą myśl. Kierunek odczytywania odwrotny wskazówkom zegara.

Rebus w środku da nam nazwisko autora złotej myśli.

Bilety wizytowe
pod „Eros"

A. KRENAK
Ł. SYZEGICZ
R. DEMARDO

Jacy są właściciele powyższych biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 13 maja br.

Rozwiązania zadań z nr. 17 „Moich Powieści": Konikówka:

Poczynając od zgłoski „Du" i skacząc ruchem konika otrzymamy:

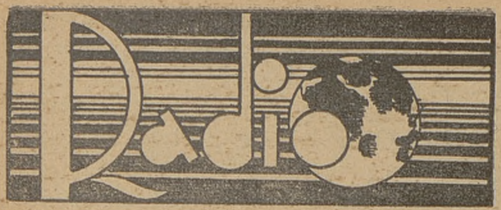
„Dusza dumna, choć bita nieszczęściem jak młotem, wstydzi się jęknąć i ból w sobie zamknie, stąd czuje umęczenie wielkie".

H. Sienkiewicz.

Bilety wizytowe: 1) Laborant. 2) Kreślarz. 3) Chemik.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Lenart Tadeusz — Rakowice, Chełmińiakówna Joanna — Bydgoszcz, Król Wiktor — Młyniec „Taki - jeden", Kamiński Jan — Górzno, Wiśniewski Leon — Brodnica.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Królowi z Młyńca i Kamińskiemu z Górzna.



Niedziela, dnia 8 maja 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Katedry na Wawelu 11.30 Pamiątki polskie w Dreźnie — reportaż 12.03 Poranek muzyczny z Poznania 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 16.05 Koncert solistów 16.45 „Co będziemy nosiły w lecie" — pogadanka 17.00 Koncert rozrywkowy — transmisja z Teatru Rozmaitości w Radomiu 19.00 „Kapelusz słomkowy" — wodewil część I. 19.40 Słynni wirtuozi — XXI audycja 21.15 „Kapelusz słomkowy" — wodewil — część II. 22.05 Opowieść o Wagnerze — II audycja — z Krakowa.

Poniedziałek, dnia 9 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół z Krakowa 11.40 Drobne warsztaty wytwórcze — reportaż z Kielc 12.03 Audycja południowa 15.45 Z pieśnią po kraju 16.15 Serenady i romanse — koncert 17.00 Odczyt 17.15 Arie, pieśni i utwory fortepianowe 18.10 Groteski jazzowe 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja Junackich Hufców Pracy 19.30 Dyskutujmy: „O zwalczaniu żebractwa" — ze Lwowa 20.00 Koncert rozrywkowy 22.00 Koncert symfoniczny Ork. P. R.

Wtorek, dnia 10 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Fragmenty z koncertów fletowych Mozarta 12.03 Audycja południowa 15.45 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci starszych 16.15 Koncert Orkiestry Rozgłośni 17.10 Mickiewicz i Maryla w Bolcienikach 17.30 „Polskie pieśni o wiośnie i miłości" — transmisja z Londynu 18.00 Miedź w Polsce — pogadanka 18.45 Audycja dla wsi 19.50 Koncert 21.00 Koncert symfoniczny z Torunia 22.00 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 11 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Pieśni francuskie 12.03 Audycja południowa 15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka 16.15 Muzyka lekka 17.00 O morskiej obronie minowej — odczyt 17.15 Miniatury kwartetowe 17.50 Polska młodzież szkolna a obrona kraju — pogadanka 18.10 Melodie taneczne na organach Wurlitzera 18.35 Audycja dla wsi 19.20 Duety wokalne 19.35 O dzielności uspołecznionej 20.00 Polska muzyka popularna 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Pawła Lewieckiego 21.45 „Bema pamięci rapsod żałobny" — Cypriana Kamila Norwida 22.00 Konkurs chórów regionalnych (VII audycja) 22.30 Polska muzyka popularna.

Czwartek, dnia 12 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 10.00 Śladami ostatniej drogi Komendanta 11.15 „W rocznicę" — audycja w wyk. dzieci z sierocińca 11.40 Marsze symfoniczne 12.03 Audycja południowa „Wśród robotników" 15.30 „Trwałe pomniki wielkości" — zbiorowy meldunek dla wszystkich rozgłośni 16.00 Polskie utwory kameralne i pieśni 17.00 „Józef Piłsudski" — odczyt 17.20 Koncert Poznańskiego Chóru Katedralnego 18.15 Koncert w wyk. ork. Rozgłośni Wileńskiej 19.00 Recital śpiewaczy Edwarda Bendera 19.20 „Wolność tragiczna" — poezjo-montaż 20.00 Koncert symfoniczny 20.40 „W godzinę śmierci" 21.05 „Poemat żałobny" — Woytowicza 21.45 „Misterium nocy majowej" — Ludwika Hieronima Morstina 22.30 Muzyka.

Piątek, dnia 13 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Utwory fortepianowe Brahmsa 12.03 Audycja południowa 15.45 „Nasze drzewa" — audycja dla dzieci starszych 16.15 Koncert rozrywkowy 17.00 „Szkoła, która przychodzi do ucznia" — pogadanka 17.15 Recital skrzypcowy Stanisława Mikuszewskiego 18.10 Koncert chóru dzieci krakowskich 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Teatr Wyobraźni: „Krosienka" — t. Krasickiego 20.00 „Księżniczka Gerolsteina" — operetka Offenbacha 22.00 Koncert — starodawna muzyka angielska 23.00 „Dzień żałoby w Polsce" — odczyt.

Sobota, dnia 14 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Polonezy symofniczne 12.03 Audycja południowa 15.45 „Tajemnica królewskiego zegara" — słuchowisko dla dzieci 16.15 Koncert rozrywkowy 17.00 Transmisja nabożeństwa majowego z Jasnej Góry 18.15 Pianistki jazzowe 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Muzyka popularna w wyk. Rozgłośni Wileńskiej 21.00 „Aida" — opera w 4-ch aktach.



ZAZDROŚĆ

— Marysiu, wcale mi się nie podoba, że ten twój narzeczony jest żołnierzem.

— Pani tak mówi, bo pani mąż jest cywilem.

ZNAJOMOŚĆ GEOGRAFII

— Który z was wie, gdzie leży Madera?

— W piwnicy mojego ojca — odzywa się syn handlarza win.

CZAS JEST DROGI

— Pomyśl tylko, młodzieńcze, ile czasu traci się przy kartach!

— O tak, zwłaszcza przy rozdawaniu i tasowaniu kart!

KOLACJA

Moritz zaprosił przyjaciela z prowincji na kolację. Przy deserze mówi Moritz: No, jak ci smakowało?

— Bardzo dobre.

— A wiesz, że wszystko co tu dzisiaj jadłeś było z konia.

— Fuj, czy i wino też?

PROBLEM

Mała Jadzia przychodzi do swej mamusi z kwestią.

— Słuchaj mamusiu, a czym żywiły się mole, gdy Adam i Ewa chodzili w raju bez ubranek?



— Pytam pana po raz ostatni: czego pan szuka w pokoju mojej żony?

POTĘGA REKLAMY

Pewien stateczny londyńczyk zgubił parasol, zupełnie nowy, kupiony zaledwie przed tygodniem. Zgubił go na odczycie umoralniającym. Wierząc święcie jak każdy prawy brytyjczyk w skuteczność drobnych ogłoszeń „Times'a", zamieścił w tym wielkim dzienniku inserat, obiecujący pokaźną nagrodę za zwrot zguby. Mijały dni. Nikt się nie zgłaszał. Nasz anglik udaje się do redakcji i z pewnym przekąsem wyraża się o wartości zamieszczanych w „Times'ie" drobnych ogłoszeń. Redaktor pisma protestuje gorąco:

— Widocznie źle zredagował pan ten anons. Pozwoli pan, że ja się tem zajmę?

— Bardzo proszę.

Nazajutrz ukazało się „w „Timesie" następujące ogłoszenie:

„Osobę, której nazwisko jest nam znane, widziano w czwartek na odczycie w domu przy ul. N. w momencie, gdy przywłaszczała sobie parasol. Jeśli osoba ta dba o swoją reputację moralnego człowieka, i jeśli nie chce mieć nieprzyjemności z sądami i policją, proszona jest o odniesienie parasola pod wskazanym adresem".

Tegoż dnia anglik znalazł się w posiadaniu dwudziestu trzech nowych jedwabnych parasoli.

ZA KULISAMI

— Pani będzie grała rolę niewinnej dziewczyny, która nie zaznała uczucia miłości, ani smaku pocałunku.

— Dobrze panie dyrektorze, ale boję się, że może wyniknąć skandal w teatrze, gdyby ktoś z publiczności mnie poznał.

PRZEZORNY

Dróżnik kolejowy widząc jegomościa, idącego torem kolejowym:

— Panie, co pan tu robi?

— Sprawdzam, czy śruby i pokłady dobrze są umocowane bo jutro będę tędy jechał pociągiem.

INTERESA

— Panie Korkower, dokąd pan jedzie na lato?

— Nigdzie nie jadę przez mój sklep...

— Tyle ma pan w nim roboty?

— Właśnie nie mam wcale...

KRYZYS W HOLLYWOOD

Asystent. Artysta, który ma grać rolę idioty, żąda 10 dolarów dziennie.

Dyrektor: Daj mu pan tylko pięć dolarów i powiedz mu pan, że on będzie tylko półidiotą.

PO ZBADANIU CHOREJ

— Niestety, drogi panie — mówi lekarz po konsultacji chorej żony do męża — teraz musi się pan przygotować na najgorsze.

— Panie doktorze, na miłość boską, chyba nie weźmie pan ode mnie więcej, jak 20 zł.?

HUMOR

Józek: Mój dziadek umarł jak miał 73 lat.

Stasiek: A moja babka umarła licząc 103 lat!

Franek (wtrącając się do rozmowy): A to nic nie jest, bo ja mam babkę, która jeszcze w ogóle nie umarła...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.